

PREZENTUJEMY

Brygida Romanowicz urodziła się w roku 1966. Mieszka w Głubczycach (woj. opolskie). Wiersze zaczęła pisać w roku 1989. Swoje utwory publikowała w *Głosie Głubczyckim* i w *Tygodniku Echo*.

Boję się
Boję się otwierać oczy,
kiedy wyrzy ranek.
Patrzeć na głęboki potok,
otoczony głazami cierpień.
Boję się, ciemnego dnia,
który zapada w samotność
jak ŚMIERĆ...

(13.08.2001)

Krzyż
Zapomniany krzyż stoi,
boleść go rani.
Niczyj i te ciągłe łzy,
a na policzkach klute rany.
Stoisz na zboczach,
widzę różaniec,
który masz na sobie.
Zdarła skóra, która nadal krwawi.
Przystań światłości ujrzałam.
Tajemnica życia.
Czasem słońce cię przywita,
deszcz obmyje rany.
Panie! Rozwiń nasze zwątpienia.
Przebacz...!

(01.02.2004)

Czemu
Czemu, twa postać milczy,
niczym pusty grób zamknięty.
Czemu, Bóg przemówił do mnie w nocy,
kiedy los boleścią złączył mnie.
Widzę twą twarz zadumy i w płaczu
milczą usta – Czemu...!
Czemu to ja,
dziś stoję przy Twym grobie,
zapomnieć nie mogę,
bo tak bolało.
Widziałem całe twoje ciało.
Czemu, tak się stało..?
Czemu ja stoję, kiedy grób –
jest pusty...

(01.02.2004)



ręce
moje ręce są silne
podam je innym
wybaczę nienawiść
i dodam swą miłość.
Bo jestem, jak ptak ulotny,
przynoszę ziarno i wiarę w siebie.

(10.01.2004)

Mój Brat-Siostra
Jest długa droga,
gdzie nie ma końca.
Nie odwracaj się ode mnie
i nie mów do mnie w ciemnościach.
Ciężko jest dźwigać, smutek –
różne udręki.
To jest mój brat, siostra
idziemy dalej, ze swoimi problemami.
Kiedy znajdę drogę,
uświęcę różaniec mój piękny.
Bo ty mój brat, siostra –
wyciągasz rękę do mnie
dając nadzieję i wiarę w siebie.
Panie, wczoraj byłam kimś innym,
niż jestem dziś.

(12.12.2003)

POWŚCIAĞLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – B. Romanowicz 2
- WIELKOPOSTNA MĄDROŚĆ – ks. M. Gładysz CSMA 3
- ZAKŁADAMY RODZINY CZY REJESTRUJEMY ZWIĄZKI? – B. Fedyszak-Radziejowska 4
- TRANS- ZNACZY NA OPAK – I. Sikora 6
- PANI PROFESOR – Z. Łączkowski 7
- CZŁOWIEK NIE MOŻE ŻYĆ BEZ UNIESIENIA – rozmowa z W. Półtawską – lekarzem psychiatrą 8
- ZWIASTOWANIE Z WENEJI – J. Kossakowski 9
- PRZYSZŁA ŁASKA I POKÓJ – rozmowa z Eleni 10
- WYZNANIA HISZPAŃSKIEGO EGZORCYSTY (2) – reporterzy telewizji TVN 12
- LOT NAD AUSTRALIJSKIM GNIAZDEM – E. Zdanowicz 13
- DEMONY INTELEKTU (4) – M. Klecel 16
- JAK SZATAN OCENIA CZŁOWIEKA – o. D. Mondrone 16
- MIT PRZELUDNIENIA – Polskie Stowarzyszenie obrońców Życia Człowieka 17
- ZDOBĄDŹ INDEKS – Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia 17
- KOŚCIÓŁ SYRYJSKI – ks. M. Starowiejski 18
- ŁÓDŹ MĄDROŚCI – P. Smogorzewski 19
- WYBIÓRCZA PAMIĘĆ – S. Niesiołowski 20
- MIASTO BEZ BOGA – G. Guttman 21
- PRZYPOWIEŚĆ – M. Szreder 21
- UWIDŹ ICH GENERALA – C. Bunikiewicz 22
- W TYCH LATACH – J. Trammer 23
- DURACZENIE – S. Michalkiewicz 24
- SOJUSZNYCI I WASALE – J. Wegner 25
- OSTROWSKI ARMS – A. W. Pawluczuk 26
- NAUKOWCY O ISTNIENIU BOGA – rec. ks. MG 27

FOT. OKŁADKA I – ks. K. Dąbrowski CSMA

FOT. OKŁADKA II – A. Ostrowski – Fotoreportaż z otwarcia i poświęcenia Biblioteki im. Jana Pawła II na warszawskim Bemowie (czyt. s. 19)

Numer zamknięto 20 lutego 2004 r.

ks. Mieczysław Gładysz



Wielkopostna mądrość

Jedno z apokryficznych opowiadań Bliskiego Wschodu mówi o dalszych losach jednego z trzech Mędrców przybyłych za gwiazdą do Dzieciątka Jezus w Betlejem. Po *homagium* oddanym Jezusowi i po złożeniu darów powrócił on do swojej krainy inną drogą niż pozostali. Ale nie był już taki jak dawniej. Na przykład miał dziwną receptę na sprawiedliwość: gdy miał osądzić złodzieja, ważył monetę ukradzoną. Gdy miał ocenić jałmużnę: ważył ją razem z człowiekiem-darczyńcą. I taką wagę czynu zapisywał. Ale to dziwne, kolejne kontrole magazynów potwierdzały zgodność masy towarowej z tym przedziwnym zapisem. Na dociekliwe pytania, jak on to robi, odparł, że rozliczany złodziej oddaje tyle, ile zabrał. Dający jałmużnę ratuje człowieka, więc jego dar ma wagę życia ludzkiego, trzeba zatem dopisać wagę człowieka. Bóg zaś sprawia, że towaru przybywa na miarę hojności darczyńcy...

Okres Wielkiego Postu to czas przykładania do naszych czynów nieco innej miary. To czas wielkiego trudu przekraczania granic samego siebie. I czas duchowej terapii. Ale istota rzeczy polega na tym, że owa terapia skutkuje na miarę naszego *dotknięcia Zbawiciela w Tajemnicy Jego Miłosiernej miłości*... przez dar liczony nie masą towarową, lecz człowiekiem, jakim jesteśmy – jakością naszego człowieczeństwa, naszej bliskości Boga w człowieku.

Człowiekiem Wielkiego Postu jest św. Józef. To ktoś konsekwentnie dający z siebie, służący, osłaniający, wyprowadzający z zasadzek i wielki patron powrotów. Żaden z Ewangelistów ani słówkiem nie wspomina o jakimś przywileju Józefa. To taki trochę minister od spraw beznadziejnych. I niech tak już zostanie. Bo przecież widzimy, że z dnia na dzień tych spraw jest coraz więcej! A to po wyjściu ze szkoły trójka dzieci dosłownie zarzyna czwarte dziecko, a to dla kilku złotych młodzi nastolatki duszą babcię, a to gimnazjalista po zaszytym ławie swej matki i wywleczeniu jej na balkon, urządza z koleśkami *balangę* w mieszkaniu... Może, gdyby tych młodych nauczono w porę choćby modlić się do tego Męża sprawiedliwego, naśladować Go, traktować Go jako miarę swoich postaw, miarę troski o innych... może nie byłoby tragedii...

Zło nie przychodzi zniemacka. Ono powoli, powoli wypełza do świadomości. Po trosze oswaja z sobą... Dyskretnie wzrasta w nas. My je hodujemy! Sprawiedliwość św. Józefa i przedziwna sprawiedliwość owego Mędrcza z Apokryfu – to znaczące progi, byśmy w Polsce mogli się o nie potknąć, za-uważać niebezpieczeństwo i zawrócić. ■

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

10 lutego Komisje senackie III RP rozpoczęły prace nad projektem ustawy o rejestracji związków homoseksualnych. Przyznam, że pomysł rejestrowania związków skojarzył mi się w pierwszych chwilach w niepokojącym pomysłom liczenia i wpisywania do rejestru ludzi żyjących w jednopłciowych związkach. Okazało się jednak, że ustawa ma umożliwić ludziom tej samej płci, po zarejestrowaniu w urzędzie stanu cywilnego, skorzystanie z pewnych praw przysługujących małżeństwom, wyliczając prawo do wychowywania dzieci.

Zakładamy rodziny czy rejestrujemy związki?

Wśród przyznanych praw najważniejsze wydają się dwa: prawo do dziedziczenia oraz wspólnego rozliczania się partnerów tej samej płci w urzędzie skarbowym. Dyskusja nad projektem ustawy obfitowała w gorące momenty, szczególnie wtedy, gdy rozważano niepokojącą perspektywę przyznania homoseksualistom prawa do adopcji dzieci. Profesor M. Szyszkowska z **SLD-UP** przyznała, że zawarty w projekcie zakaz adopcji dzieci przez homoseksualistów jest *sprzeczny z moimi poglądami, ale znalazłam, że dzięki niemu łatwiej będzie uchwalić ustawę*. Gdy przedstawiła Rzecznika Praw Dziecka zwróciła uwagę na możliwość pojawienia się w takich związkach dzieci przysposobionych lub, po prostu, posiadanych przez jedną z osób z poprzedniego, heteroseksualnego związku, senator M. Balicki uspokajał senatorów: *nie ma dowodów, aby dla dziecka było bardziej szkodliwe wychowywanie przez parę homoseksualistów niż w innym środowisku...*

Przypuszczam, iż część moich readerów uzna, że – ponieważ pary homoseksualne są wśród nas – czas przysięgając to do wiadomości i dać im prawa przysługujące małżeństwom. Będą powoływać się na Parlament Europejski, który zalecił, by eliminować przeszkody

utrudniające legalizację związków tej samej płci. W Danii homoseksualiści uzyskali status równy małżeństwom już w 1989 r., w 1993 r. przyznano go im w Norwegii, a w r. 1994 w Szwecji. Począwszy od 1999 r. wiele krajów przeszło tą samą drogą: najpierw Francja, potem w 2000 r. Belgia i Niemcy, a w 2001 r. – Holandia. Francja przyjęła *Pakt Solidarności Obywatelskiej*, który nadał prawny status wszystkim konkubinatom, a więc także jednopłciowym. Niemcy przyjęły ustawę zrównującą prawa związków homoseksualnych z małżeństwami. Rejestracja *partnerstwa życiowego* daje im prawo do dziedziczenia, do alimentów i wspólnego opodatkowania. Rejestrować związki homoseksualne mogą także Belgowie oraz niektóre regiony Hiszpanii i Włoch. W Holandii i Szwecji związki homoseksualne uzyskały także prawo do adopcji dzieci.

Nawet Kościół Anglii liberalizuje stanowisko wobec homoseksualizmu. Trudno w takiej sytuacji wierzyć, że stawienie czoła presji *postępowych Europejczyków* będzie łatwe i bezproblemowe. A trzeba przecież powiedzieć spokojnie i zdecydowanie: *przykro mi, ale moim (naszym) zdaniem w wielu europejskich państwach popełniono błąd*. Już widzę tytuły prasowe: *oto przemówił polski koltun, megaloman, zaścianek, warchoł etc...*

... w polski koltun, megaloman, zaścianek, warchoł etc...

Pomocą w debacie publicznej na ten temat jest dokument *Uwagi dotyczące projektów legalizacji prawnej związków między osobami homoseksualnymi* opublikowany w Watykanie latem 2003 r. przez Kongregację Nauki Wiary. Kongregacja stwierdza w nim wyraźnie, że wszyscy wierni mają obowiązek przeciwstawić się prawnej legalizacji związków homoseksualnych, ... a polityk katolicki ma obowiązek moralny wyrazić jasno i publicznie sprzeciw i głosować przeciw projektowi ustawy. Małżeństwo, głosi dokument, to związek osób różnej płci, a legalizacja związków homoseksualnych podważa definicję małżeństwa i wprowadza w proces socjalizacji ideologiczny model sprzeczny z wartościami dziedzictwa naszej cywilizacji. Państwo ma obowiązek chronić instytucję małżeństwa, ponieważ to na niej spoczywa wielka odpowiedzialność za wydanie na świat i wychowywanie dzieci dla naszego, wspólnego dobra. Adoptywanie dzieci przez homoseksualistów Watykan określa jako *postępowanie poważnie niemoralne*.

Są jeszcze inne, prozaiczne, ale ważne konsekwencje rejestracji związków homoseksualnych. Oto związki te mają otrzymać prawo do dziedziczenia własności po zmarłym, homoseksualnym partnerze. Przyjrzyjmy się dokładniej temu rewolucyjnemu pomysłowi – rewolucyjnemu, ponieważ w naszej cywilizacji, jak pisze R. Pipes w książce *Własność i wolność*, fundamentem wolności i źródłem gospodarczego rozwoju jest pełne prawo własności wraz z prawem do jej dziedziczenia przez spadkobierców – potomków właściciela, najczęściej po linii ojca, ale także po linii matki lub obojga rodziców. Ta zasada utrzymała się w naszej cywilizacji, pokonując opór władców i wielkich rodów. R. Pipes pisze: *Z punktu widzenia feudała synowie wasala (...) byli następcami priorytetowymi* (s.165), i dalej: *Do wieku XVI stało się w Europie Zachodniej pewne, że król panuje, ale jego poddani są posiadaczami (...). Własność*

... należy do rodziny, a najwyższa władza do księcia...

O *emancypacji rodziny* z ustroju rodowego poprzez zdobycie prawa do dziedziczenia własności pisał także F. Koneczny, pokazując w książce *Święci w dziejach narodu polskiego*, jak dramatycznie i w sporze z władzami dokonywał się ten proces w czasach Bolesława Śmiałego i Biskupa Stanisława.

Zasada dziedziczenia zawsze opierała się o więzy krwi. Ustawowe dziedziczenie w związkach partnerskich zmienia zasadniczo tę regułę, teraz jego źródłem mają być: *uczucie i alkowa*. Wszystkie kultury i cywilizacje znały przypadki wielkich i małych romansów, z których czasami rodziły się pozamałżeńskie dzieci. Ale prawo dziedziczenia własności, czyli fundament wolności gospodarczej i wolności osobistej, wypracowane z trudem przez kolejne pokolenia od prawie 1000 lat, opierało się na zasadzie – dziedziczą dzieci z prawego łóża, czasami tylko pierwszy syn lub tylko synowie, czasami także córki, ale zawsze – dzieci urodzone w małżeństwie. Jeśli ich nie ma, dziedziczą najbliżsi krewni – a więc osoby *spo-krewnione*. Oczywiście, zdarzało się, że mi-

... *łość i alkowa* dawały prawo do własności: stosowano formy depozytów, zapisów w testamentach, kupowano kochankom pałace i uznawano pozamałżeńskich dzieci. Ale wydziedziczyć własne dzieci i ich matkę nie było łatwo, takie zapisy niejednokrotnie skutecznie podważano w sądach.

Ta fundamentalna zasada dziedziczenia przez *kwę* ma być teraz zastąpiona zasadą *dziedziczenia przez seks*. Przywilej dziedziczenia obejmował członków rodziny nie dlatego, że mieszkali razem, czy darzyli się uczuciem. Czasami ani wielkich uczuć, ani wspólnego domu nie było. Dziedziczenie w ramach instytucji rodziny było konsekwencją jej niezwykłych możliwości, to w niej rodził się i był wychowywany nowy człowiek. To dla dzieci rodzice pomnażali majątek, to dla pamięci rodziców dzieci odpowiedzialnie nim gospodarowały. Tak budowano siłę i niezależność ekonomiczną rodziny i w feudalizmie, i w kapitalizmie. Teraz ten ukryty w instytucji dziedziczenia hold złożony rodzinie przestaje mieć znaczenie. Rewolucja obyczajowa w sposób pośredni zdaje się zmierzać do ograniczenia prawa do dziedziczenia wedle stopnia pokrewieństwa.

Także drugi ważny przywilej, który mają uzyskać związki jednopłciowe, czyli prawo do wspólnych rozliczeń w urzędzie skarbowym nie wydaje się w pełni uzasadnione. Małżeństwa korzystają z tego prawa nie dlatego, że wspólnie mieszkają, czy też dlatego, że łączą ich wielka miłość i wspólna alkowa. Przyczyna jest nieco bardziej prozaiczna, ale bardzo istotna. Oto czasami jedno z małżonków, najczęściej kobieta, rezygnuje z pracy lub ogranicza jej wymiar, by móc wychowywać dzieci. Wtedy drugie utrzymuje całą rodzinę i dlatego korzysta z prawa do podziału wspólnych dochodów na dwoje i zapłacenie nieco mniejszego podatku. To, że czasami małżeństwa nie mają dzieci, nie jest powodem do zmiany zasad, przecież para złożona z kobiety i mężczyzny w każdej chwili może zdecydować się na dziecko, także przez adopcję.

Dlaczego taka zasada ma objąć związki, w których nigdy w sposób naturalny nie pojawi się żadne wspólne dziecko? Zwolennicy obyczajowych rewolucji odpowiedzą na to zapewne tak: pozwólmy więc homoseksualistom adoptować dzieci, pozwólmy lesbijkom na zapłodnienie *in vitro*...

Odpowiadam NIE, ponieważ w związkach homoseksualnych nie rodzą się dzieci. Jeśli pozwolimy na adopcję lub sztuczne zapłodnienia w związkach osób jednej płci, to przyznamy sobie nieludzkie prawo do eksperymentów z użyciem bezbrzoznych i zaleźnych od nas – dzieci. A senatorowi M. Balickiemu odpowiem tak: żeby mieć absolutną pewność, że wychowywanie dzieci przez pary homoseksualne nie odbije się niekorzystnie na ich rozwoju, musieliśmybyśmy dysponować wiedzą o dwóch lub trzech pokoleniach dzieci (ludzi) wychowywanych w takich warunkach. A tego nie da się zrobić bez podjęcia eksperymentalnych badań naukowych z użyciem dzieci. I tak walka o prawa jednych (silniejszych) kończy się brutalnym pogwałceniem praw innych (słabszych). Jak już nie jeden raz w historii Europejczyków bywało.

Barbara Fedyszak-Radziejowska



Fot. P. Żywieński

...Kobiety można poznać po tym, że mają duże dłonie i smukłą sylwetkę, mężczyźni po tym, że są drobni, z wypisaną na twarzy delikatnością... Patrzę z niepokojem w lustro. Sylwetkę mam raczej smukłą, dłonie średnie... a może duże?... Po lekturze kolejnego materiału na temat orientacji płciowej zaczynam się zastanawiać, czy nie jestem przypadkiem transseksualistą?

Trans- znaczy na opak

Czytam artykuł zatytułowany *Trzecia pleć* w lutowej *Rzeczpospolitej* i ciarki przechodzą mi po plecach, bo wyraźnie napisano, że: *Transseksualizm jest chorobą, która widnieje w Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób. Chorobą wrodzoną i nieuleczalną... Jedynym ratunkiem jest odnalezienie prawdziwej płci, w czym pomagają specjaliści z Zakładu Psychosomatyki, Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich...* Oddycham z ulgą.

W czołówce materiału z *Rzeczpospolitej* kolorowa plansza z ostatnimi odkryciami naukowymi. Szara bryła mózgu z zakreślonym na czerwono kółkiem. Miejsce odpowiedzialne za transseksualizm u mężczyźni może znajdować się obrębie podwzgórza. A u kobiet? Uczeni coś z pewnością znajdują, bo jak jest choroba, i to nieuleczalna, trzeba wskazać jej przyczynę.

Romka

Przeglądając stary album, trafiłam na fotografię z podstawówki: niewielka grupka młodzieży z panem kierownikiem: Marysia, Zosia, Piotrek (który już nie żyje). W drugim rzędzie obok Basi, Romka – lekko uśmiechnięta, w spodniach i sztruksowej marynarce. Zdjęcie wykonano w latach sześćdziesiątych, kiedy docierały poddmuchy *hipisowskiej* rewolucji. Nie nosimy granatowych mundurków. Ja w zielonej spódnicy, Zosia w niebieskiej sukience, tylko Romka, jak zwykle, w spodniach. Tak ją zapamiętałam. Podobno jej rodzice bardzo chcieli mieć chłopca. Mieli już córkę, Elę, więc kiedy Romka się urodziła, ojciec niby w żartach zdecydował... To będzie chłopczyk... I tak ją traktował. Od dziecka ubierano ją jak chłopca. Zawsze krótko ostrzyżona. Uczył ją męskich zachowań. W ostat-

niej klasie podstawówki mimo pulchnej sylwetki, niewielkich stóp i dłoni – strojem i sposobem bycia bardzo przypominała chłopca. Pod koniec roku szkolnego przygotowaliśmy się do szkoły średniej, spędzając w grupie całe wieczory. Marysia z Basią opowiadały o chłopcach... Wtedy Romka po raz pierwszy zdradziła nam swój sekret. Opowiadała, jak wieczorami jeździ do odległych miejscowości (miała motorower) i na dyskotekach *podrywa* dziewczyny. Tańczy z nimi, flirtuje i mówi, że nazywa się Romek. W naszej grupie uważaliśmy to za fajny wygłup. Ostrzegaliśmy ją jednak, żeby była ostrożna... *bo co będzie, jak ktoś ją rozpozna*, albo inni chłopcy ją pobiją?... Romec jednak podobało się *podwójne* życie.

Drogi nasze się rozeszły, kiedy poszliśmy do liceum. Większość dziewczyn do żeńskiego, Romka do męskiego. Wprowadzano już koedukację, ale i Romka należała do nielicznych dziewczyn w męskim środowisku. Kontynuowała też *podwójne* życie jako Romek. Kilka razy została po męsku pobita. Szukała pociechy w alkoholu. Po liceum spotykałyśmy się tylko na wakacjach. Romka ukończyła jakieś studium w Lublinie. Poszła do pracy, ale po

dwoch latach pojawiła się w rodzinnym domu. Dostała skromną posesję w gminie, wtedy okazało się, że pije. Mimo że była osobą wykształconą i inteligentną, coraz częściej spotykano ją z ludźmi marginesu. Brudną i zaniedbaną. Zginęła tragicznie, zamordowana przez przygodnych kompanów do kieliszka.

Czy Romka była nieuleczalnie chora? Jeśli nawet, to z pewnością nie była to choroba, którą można wyleczyć chirurgicznie, przerabiając jej narządy płciowe. Dolegliwością Romki były jej problemy psychiczne powstałe w wyniku błędów wychowawczych popełnionych przez rodziców. Chcieli mieć chłopca, więc traktowali ją jak chłopca, nie zastanawiając się, jakie będą tego konsekwencje.

Transseksualne lobby

Tymczasem specjaliści z *Zakładu Psychosomatyki, Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich* podchodzą do sprawy dosłownie. Kiedy przychodzi pacjentka i mówi, że psychicznie czuje się mężczyzną, amputują jej piersi i dorabiają penis. Ponieważ dzieje się to w państwowej służbie zdrowia, chciałabym zapytać: Czy amputacja zdrowych narządów jest zgodna z etyką lekarską? Skąd w biednym resorcie zdrowia, który nie ma pieniędzy na podstawowe zabiegi, biorą się środki na kosztowne operacje zmiany płci? Czy mężczyzna ze sztucznym biustem i obciętych piersi jest kobietą? *Rzeczpospolita* podaje, że w Polsce zoperowano dotychczas 1500 osób. Kolejny 1000 jest w trakcie operacji. Przeróbka mężczyzny na kobietę kosztuje 15 tys. i trwa ok. półtora roku. Przeróbka kobiety na

mężczyznę trwa trzy lata i kosztuje 25 tys. zł. Co najlepsze: zdarzają się przypadki, że po przeprowadzonej operacji pacjent chce wrócić do swojej pierwotnej płci. I co wtedy? Znowu mu obcinać jedno, a przyszywać drugie? Czy nie lepiej takich pacjentów kierować najpierw do dobrego psychologa, a potem na psychoterapię?

Mechaniczne *przerabianie* mężczyzn na kobiety i odwrotnie, oprócz wydatków w służbie zdrowia i administracji (przerabianie dokumentów), niesie za sobą ogromny koszt społeczny. Jakiś czas temu *Gazeta Wyborcza* opisywała przypadek młodego mężczyzny, który *czuł się kobietą* i, za namową specjalistów, poddał się operacji zmiany płci. Bolesne zabiegi trwały kilka lat, w czasie których ów człowiek nie pracował, ani się nie uczył, bo rozwijał swoją *kobiecość*. Obecnie jest prostytutką, w zasadzie kobietą, bo ma przerobione narządy i damskie dokumenty. Jak widać, ma także zmarnowane życie.

Magda, o której pisze *Rzeczpospo-*

lita, ma 29 lat i jest na pierwszym roku medycyny. Większość ludzi w tym wieku już dawno skończyła studia i zarabia na swoje utrzymanie. Magda nie mogła dotąd się tym zająć, bo ją przerabiano na kobietę. Jeśli skończy studia, chciałaby zostać lekarzem transseksualologiem. Spodziewa się, że będzie to popłatny zawód. Z pewnością, szczególnie że media z dużym upodobaniem pokazują osobników, którzy po przeróbkach, *czują się wreszcie sobą* – zachęcając do płciowych eksperymentów.

Kilka lat temu w *Rozmowach w toku* w *TVN* pokazano Annę M., którą przerybiono na kobietę. Została wreszcie *sobą*, ale za jaką cenę.

Była żona Anny M. popełniła z rozpacy samobójstwo. Zostało dziecko, pozabawione matki i ojca, który teraz jest kobietą i nie poczuwa się do ojcostwa. We wrześniu 2002 r. napisał o tym *Tygodnik Zamojski*, ujawniając kulisy transseksualnego sukcesu. Anna M. – która wcześniej chętnie występowała przed kamerą i udzielała wywiadów ko-

lorowym magazynom, nagle poczuła się urażona naruszeniem jej intymnej tajemnicy i wniosła sprawę do sądu, żądając przeprosin i 20 tys. zadośćuczynienia. *Tygodnik Zamojski* bronił się, twierdząc, że w artykule nie podano nazwy miejscowości ani personaliów bohaterów artykułu – dodając, że tajemnicę Anny M., za jej zgodą, znały tysiące czytelników, o czym świadczą wcześniejsze publikacje. Sąd Okręgowy w Zamościu przychylił się do stanowiska gazety i oddalił powództwo. Po odwołaniu sprawa trafiła do Sądu Apelacyjnego w Lublinie. Ten uznał, że redakcja naruszyła prawo do prywatności powódki i złamała artykuł 14 pkt. 6 prawa prasowego, który zabrania dziennikarzowi, bez zgody osoby zainteresowanej, podawania danych dotyczących prywatnej sfery życia. Dziennikarze otrzymali w ten sposób czytelny komunikat. O transseksualistach i transseksualnym *lobby*, które rozwija się w cieniu tej przypadłości, można pisać, ale tylko pozytywnie.

Izabela Sikora

PRO MEMORIA

Pani Profesor

Zmarła Profesor Irena Sławińska, światowej sławy humanista, wielki autoritet moralny i naukowy. Teoretyk literatury, teatrolog, znawca i badacz twórczości Norwida. Wychowawca wielu pokoleń młodzieży na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także na uczelniach Europy i Stanów Zjednoczonych. Była absolwentką Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, o którym to mieście nigdy nie zapominała.

Trudno było nie dażyć Jej miłością i za Jej wiedzę i za dość ekstrawagancji, jak na lata pięćdziesiąte, styl bycia i prowadzenia zajęć. To Ona bowiem pierwsza prowadziła wykłady i egzaminowała wśród zieleni drzew, poza murami uczelni, w parkach i na leśnych polanach, gdzie, jak twierdziła, łatwiej jest

użyć miłości do książki i pisarzy, do mowy polskiej i literatury, której korzenie tkwią w źródłach kultury śródziemnomorskiej, a co za tym idzie, w szerokim znaczeniu kultury chrześcijańskiej.

Zafascynowana sztuką sceniczną, powołując się na Wyspiańskiego, widziała zawsze nasz teatr ogromny, godny, przodujący w świecie. Zakochana zaś w Norwidzie ukazywała go jako twórcę największego z wielkich, niesłusznie odsuwanego w cień, poetę odkrywczego i niezmiernie znaczącego dla polskiej liryki i dramatu.

Kochała młodzież. Jej wszczepiała wartości piękna, dobra i godności. A Jej wychowankowie, do których miałem niezwykle szczęście i przywilej należeć, też nie opuszczali Pani Profesor. Do ostatnich dni Jej życia odwzajemniały się szczególnie, wiernie

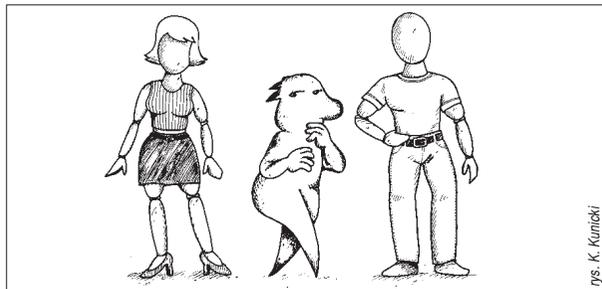
szlując i opiekując się Panią Profesor, Jej byłe studentki: Roma Bereżecka, Emilia Barbara Rokicka i aktorka Danuta Nagórna.

Przeprowadziła swoich studentów przez czerwone morze lat pięćdziesiątych w tych tragicznych czasach, nie zapominając i o Gajcym i o Baczyńskim, o poetach zakazanych, bowiem wolność nie zniewolona w czasach zniewolenia była dla Pani Profesor wyznacznikiem jej życia.

Na wieść o śmierci Pani Profesor Ireny Sławińskiej obszerne list nadesłał Ojciec św. Jan Paweł II. Mówił w nim o wielkim Jej wkładzie w kulturę i naukę nie tylko polską, lecz także światową, a na koniec wyznał, iż On sam wiele Jej zawdzięcza.

Znali się bowiem bardzo dobrze w czasach, gdy wspólnie wykładali na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim...

Zdzisław Łączkowski



rys. K. Kunicki

Wanda Półtawska urodziła się 2 listopada 1921 r. w Lublinie. W czasie wojny była harcerką Szarych Szeregów. W roku 1941 – aresztowana przez gestapo – została skazana na karę śmierci i wysłana do obozu koncentracyjnego Ravensbrück, gdzie poddana ją okrutnym eksperymentom medycznym. Jest doktorem medycyny, specjalistką w dziedzinie psychiatrii. Pracuje w poradniach małżeńskich i rodzinnych. Prowadzi wykłady z medycyny pastoralnej i kieruje Instytutem Teologii Rodziny na PAT w Krakowie. W latach 1981 – 84 wykładała w Instytucie Jana Pawła II przy Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie. Od 1983 r. jest członkiem Papieskiej Rady Rodziny i Papieskiej Akademii Pro Vita. Należy do najbliższych przyjaciół Jana Pawła II. Mąż Andrzej jest profesorem filozofii. Mają cztery córki.

Człowiek nie może żyć bez uniesień

Rozmowa z dr Wandą Półtawską – lekarzem psychiatrą

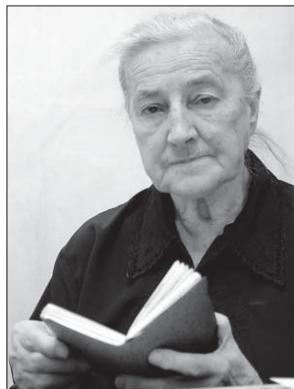


foto: W. Wilegański

Jakie zjawiska we współczesnej kulturze widzi Pani jako zagrożenie dla przyszłości społeczeństw?

Podstawową sprawą jest zanik wszelkiego *sacrum*. Dla współczesnego człowieka nie ma nic świętego. A człowiek bez spraw, które są większe niż on, właściwie nie potrafi żyć. Ojciec Święty raz powiedział: Człowiek nie może żyć bez uniesień...

Które z symptomów zaniku *sacrum*, odarcia z wartości są, Pani zdaniem, najbardziej zatrważające?

W dziedzinie kontaktów międzyosobowych takim zjawiskiem jest pornografia, która akt małżeński sprowadziła do *zażywania relaksu*. Kobieta stała się w tej sytuacji wyłącznie przedmiotem do pobudzenia pożądania. Przestrzegam przed tym Ojciec Święty, mówiąc: – *Nie wolno traktować drugiego człowieka jak rzecz...*

Pociouć ma być podległa człowieczeństwu?

Może być przecież *nieludzka kobiecość*, kiedy matka zgadza się na zabicie własnego dziecka i *nieludzka męskość*, wyrażająca się agresją, gwałtem. Cały szereg czynów agresywnych wynika z faktu, że ludzie przestali się kochać. Na co dzień brakuje zwyczajnej miłości bliźniego.

Kto jest temu winien?

W pewnym sensie wszyscy. Gdyby wszyscy ludzie zechcieli realizować pozytywny stosunek do drugiego człowieka – świat musiałby się zmienić. To jest zadanie ogólnoludzkie.

Jednym z aspektów współczesnej kultury jest rozprzestrzenianie się homoseksualizm. Czy rzeczywiście jest to tylko moda?

To była zawsze patologia. Ona wymaga leczenia, a nie naśladowania. Całe lata leczę homoseksualistów i wiem, że to jest patologia, która domaga się korekty.

Coraz częściej mówi się o potrzebie akceptacji dla homoseksualistów...

Można społecznie akceptować człowieka, ale nie jego aberracje. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku – małżeństwo, które ma mieć dwóch ojców, nie mając żadnej matki, jest postawione na głowie. To jest krzywda czyniona dzieciom. To, co się w tej chwili dzieje, co przegłosowano w Belgii (by parom homoseksualnym, zamiast je leczyć, dać prawo do adopcji) jest potworną krzywdą dla wszystkich.

We współczesnej kulturze pojawia się wezwanie do tolerancji wobec inności...

Tak, ale zasada tolerancji wymaga też tolerancji dla wierzących. Ci wierzą-

cy też mają prawo, żeby ich racje: **Dziecię Przykazań** – były respektowane w społeczeństwie. Nie może być tylko tolerancja dla ateistów i antyklerykałów, homoseksualistów... Musi być też tolerancja dla katolików.

Słyszałam, jak apelowała Pani do nauczycieli, żeby byli jednoznaczni, żeby mówili, że czarne jest czarne, białe jest białe. A współczesna kultura jest przeciw kulturze kompromisu...

Kompromis nie jest prawdą – jest półprawdą. Kompromis nie ratuje wartości. Taką wartością jest życie. Nie można częściowo zabić. Nie *cokolwiek* może uratować człowieka, tylko prawda. A realizm i radykalizm poglądów to jest właśnie powiedzenie prawdy bez względu na konsekwencje. Myślę, że naszemu narodowi brakuje odwagi cywilnej. Ludzie *hodują* czasem w ukryciu swoje prawidłowe poglądy, chcieliby ratować wartości, ale nie mają odwagi. Toteż Ojciec Święty chodzi po świecie i mówi: *Nie bójcie się!* A oni się boją...

Czego się boją?

Opinii publicznej. Boją się, że zostaną zaklasyfikowani jako nienowocześni, kołtuńscy, jakby przybyli z ciemnogrodu. A tak naprawdę wartości są nieprzemijające. Nie trzeba się ich wstydzić. Przeciwnie – trzeba się chwalić tym, że człowiek uznaje wartości.

Nie napawają optymizmem ten-

dencje, które docierają z Parlamentu Europejskiego, na przykład o potrzebie wprowadzenia prawa do eutanazji...

Każde zabijanie jest przeciwko dobru człowieka. Człowiek potrzebuje czasami tych ostatnich chwil, nawet po to, żeby się zastanowić, co dalej. Odebranie mu tych możliwości może go skazać nawet wręcz na piekło. Trzeba wierzyć w potępienie wieczne tak, jak w wieczne szczęście. Jest prawda o niebie i o piekle. Ludzie rozumnie myślący muszą to przyjąć.

Człowiek we współczesnym świecie często jest traktowany poniżej swojej godności i jest mu źle w tej roli. Czym grozi takie złe samopoczucie?

Powstają reakcje frustracji i agresji. W listopadzie 2003 r. w Rzymie odbył się międzynarodowy kongres na temat depresji. Na całym świecie rośnie liczba ludzi o obniżonym nastroju, na poziomie nerwicy, psychozy. Współczesnemu człowiekowi brakuje poczucia sensu życia, bo goni za mirażami, za wartościami ma-

terialnymi, które i tak zostawi, bo każdy umrze.

Pani często przypomina ludziom, że muszą umrzeć?

Tak, i zaraz dodaje, że chodzi o to, czy ta śmierć jest końcem, czy początkiem. Życie nie kończy się ze śmiercią, ale ona musi być szczęśliwa...

To znaczy?

O tym, że po śmierci decyduje jakość naszych dzisiejszych czynów – miłości, życzliwości.

Ludzie o tym nie rozmawiają, bo boją się śmierci...

Nie musimy przeżywać strachu przed śmiercią. Jest tylko kwestia przygotowania. Znalam przypadki, kiedy ludzie oczekiwali na nią spokojnie, ponieważ to jest normalny koniec życia ludzkiego. Człowiek, który jest niepewny tego, co będzie – boi się. Natomiast człowiek, który jest głęboko wierzący, wierzy, że idzie do domu Ojca, w ręce kochającego Boga, i jest spokojny.

Jak ludzi przygotowują do śmierci?

Zamiast ukrywać przed pacjentem,

że jest to choroba, która zagraża życiu, trzeba powiedzieć spokojnie: – *Przygotuj się na śmierć. Nie umrzesz! To bardzo dobrze, ale lepiej, żebyś był przygotowany...* Wtedy lęk, napięcie znikają. Nie można udawać, że nie ma śmierci. Jestem z pokolenia, które już schodzi z tego świata, bo jest stare. I śmierci się nie boję.

Jaka jest recepta na to, by, mając 82 lata, być w takiej kondycji jak Pani?

Zachować poczucie humoru i... chodzić po górach...

Jak Pani widzi przyszłość świata?

Jestem optymistką. Jednak pesymistką co do Europy, ponieważ to, co słyszę na kongresach europejskich, wskazuje na regres. Europa jest zdemoralizowana. To jest kontynent, gdzie jest coraz więcej rozwodów, zabójstw, coraz mniej urodzonych dzieci. Wydaje się, że jest to kawałek świata skazany na zagładę. Ale... może Ktoś nas uratuje...

Rozmawiała Romana Brzezińska

PLASTYKA

Zwiastowanie z Wenecji

O tym, że Wenecja jest miastem nietypowym, wie prawie cały świat. Jej morskowodne usytuowanie przypominają dziesiątki filmów, zaś nieprzeliczone turystyczne foldery do znużenia prezentują weneckie kanały z pływającymi gondolami. Do wielu innych znanych, ale oryginalnych walorów tego pięknego miasta trzeba dodać i tę nietypowość, iż Wenecja, w przeciwieństwie do różnych światowych metropolii, nie posiada sławnego muzeum takiego jak paryskie Luwry czy Muzeum Watykańskie w Rzymie. Powie ktoś, że Wenecja sama w sobie jest jednym zabytkiem i nie musi się silić na jakieś monumentalne zbiory sztuki. To prawda – Wenecja jest swoistym dziełem sztuki, ale możliwość spotkania arcydzieła światowego malarstwa w jakimś skromnym, pokrytym zaciekami kościół-

ku jest w tym mieście wielokrotnie większa niż gdziekolwiek indziej.

Niewielkie muzea, galerie i dostępne publicznie kolekcje spotyka się tu co krok i każda z nich może pochwalić się takimi dziełami sztuki, o jakich polskie muzea narodowe mogą tylko pomarzyć. Wszystkie te niezwykle cech Wenecji świetnie omawia najnowszy album Wydawnictwa *Arkady* pt. *Wenecja – arcydzieła malarstwa*. Należy on do serii luksusowych albumów tego wydawnictwa prezentujących kolekcje malarstwa w najświetniejszych muzeach świata. Wśród zamieszczonych tu najwyższej jakości barwnych reprodukcji znajdujemy fotografię obrazu Tycjana (który dekoruje ołtarz św. Augusta w weneckim kościele San Salvador) przedstawiającą scenę *Zwiastowania*

Maryi Pannie, którą to uroczystość Kościół obchodzi 25 marca.

Tycjan (1490 – 1576), uczeń Bellinich, po śmierci Giorgionego stał się najważniejszym malarzem Wenecji, a z czasem najwybitniejszym przedstawicielem sławnego malarstwa weneckiego. Scenę *Zwiastowania* namalował pod koniec długiego życia, kiedy to kompozycje jego nabrały niezwykłego dynamizmu i ekspresji. Cechy te na płótnie *Zwiastowania*, połączone z rozedraniem kolorów, ustawiają relację pomiędzy Maryją i aniołem za pośrednictwem światła i ognia. Jest to aluzja do biblijnego krzewu gorejącego, który płonie, lecz się nie spala – symbolizuje dziewicze poczęcie Chrystusa przez Maryję. Aluzji jest tu zresztą więcej, nie one jednak stanowią o wartości artystycznej tego dzieła, które przede wszystkim fotografię obrazu malarstwa na zawsze będzie głosić sławę Wenecji i jej artystów.

Jarosław Kossakowski

Przyszła łaska i pokój

**z Eleni – piosenkarką,
rozmawia ks. Mieczysław Gładysz CSMA**

Serdecznie dziękuję, że zgodziła się Pani na naszą rozmowę. Zapytam wprost: Dlaczego Pani śpiewa?

Ja zaś odpowiem wprost: bo kocham śpiewać. Wiem, że jest to wielki dar. A ponieważ damo go otrzymałam i śpiewam, jak śpiewam, pragnę przez to obdarować innych ludzi. Skoro mnie to zostało dane, chcę innym dawać. Gdy śpiewam, chyba jestem najbardziej sobą.

Kiedy zaczęło się śpiewanie?

Często mnie o to ludzie pytają. A mnie się wydaje, że śpiewałam od zawsze. Od najmłodszych lat pamiętam z domu rodzinnego muzykę. Cała moja rodzina była rozspiewana. Lubiliśmy siedzieć w domu i śpiewać, śpiewać... Stanowiliśmy spory zespół. Ja byłam dziesiątym dzieckiem w rodzinie. Do tej pory żyje nas ośmioro: czterech braci i cztery siostry. Byłam najmłodsza. Moje starsze rodzeństwo grało na instrumentach: na gitarach i mandolinach. Wtedy były bardzo modne zespoły mandolinistów. Jako mała dziewczynka brałam je sobie i pogrywałam. Wyrastałam w świecie, którego dużą część stanowiła muzyka. Rodzice nasi bardzo lubili śpiewać. Myślę, że bez muzyki trudno byłoby nam żyć. Teraz wiem, że muzyka rozwijała nas duchowo, w niej dojrzewaliśmy...

Gdzie to dorastanie miało miejsce?

Urodziłam się w Bielawie na Śląsku. To bardzo pięknie usytuowana miejscowość. Dookoła prześliczne góry. Moi rodzice byli Grekami. Do Bielawy trafili z całą rodziną na skutek wojny domowej w Grecji. Mieszkaliśmy pośród wielodzietnych rodzin. Była nas cała armia

dzieci. Potrafilimy sobie zorganizować różne zabawy dosłownie z niczego. Rodzice myśleli, że gdzieś po roku, po dwóch latach wojna się skończy. Tymczasem pobyt w Polsce przedłużył się do 25 lat. A gdy rodzice powrócili do Grecji, na ostatnie lata swego życia, tęsknili za Polską. Do Grecji pojechali, aby dzieci mogły żyć w swojej ojczyźnie. Ja pozostałam w Polsce. Podobnie jak brat, który mieszka w Łodzi. Ja mieszkam w Poznaniu. Bracia poženili się z Polkami, które pięknie zaaklimatyzowały się w nowej ojczyźnie.

Śluchając, jak Pani ślicznie mówić po polsku, nigdy bym nie powiedział, że Pani jest Greczynką...

Do szóstego roku życia mówiłam wyłącznie po grecku. Rodzice nie pozwalali inaczej. Dopiero, gdy poszłam do szkoły, nauczyłam się polskiego. Była nas tam spora grupa dzieci greckich. Po zwykłych lekcjach dzieci greckie zostawały na dokształcanie z języka greckiego, historii i geografii Grecji. I gdy jako 20-letnia dziewczyna mogłam wrócić do Grecji, nie byłam już niczym zaskoczona – choć mocno wzruszona.

Muszę powiedzieć, że gdy słyszę muzykę grecką, to jakoś inaczej moja dusza gra. Wielu ludzi często mówi mi, że w moim śpiewaniu jest nutka grecka – i chyba to tak jakoś jest... Poza tym mój kompozytor pisze muzykę charakterystyczną, a i instrument, na którym gra – *kabuki* – tworzy rzeczywistość klimat grecki – choć ja śpiewam po polsku. Stąd wychodzi piękne połączenie *polakości i greckości*.

I my to lubimy! Ale zechce Pani powiedzieć: jak to jest z tym SOS?

Hasło: *na ratunek człowiekowi* wyniosłam z domu rodzinnego. Moi rodzice nie musieli nam mówić o pomaganiu ludziom. Oni swoim postępowaniem pokazywali, że nie można iść obojętnie obok człowieka potrzebującego. Oni po prostu kochali ludzi... Pomimo tego że nam też było ciężko. Ale to było nieistotne. Nasz dom był zawsze otwarty. To byli ludzie z gruntu dobrzy. I oni nam to przekazali...

Takie pochylenie się nad człowiekiem wyziera często z Pani śpiewu. Pani często śpiewa o miłości, ale to jest miłość, która w moim odczuciu, jest bardzo bliska temu, co Papież nazywa miłością miłosierną. Pani o takiej miłości śpiewa i właśnie w taki sposób... Co więc o tym przesądza?

Tę wrażliwość przekazali nam rodzice. To pozostało do dziś... to, że mogę jakby przejść nad sobą, siebie ominąć... dostrzec krzywdę ludzką, nawet *przeciwnie sobie*... Nawet w moim śpiewaniu. Gdy zaczęłam już zawodowo, to nie było czegoś takiego, że ja muszę odnieść sukces, być koniecznie gwiazdą... Całą moją radość była w śpiewaniu. Gdy widziałam reakcje słuchających, ich pozytywne emocje – cieszyłam się, że mogłam im to dać... Z tego również czerpałam siłę w trudnych momentach. Dlatego też autorzy tekstów – znając mnie od tej strony – wiedzieli, jak pisać dla mnie. Oni wiedzieli, że potrafię odrzucić zwroty, które nie przejdą mi przez gardło, bo nie pasują do mojego wnętrza... Ufam, że to trafia do ludzi.

Czy nie sądzi Pani, iż jakby na przedłużeniu tego, o czym mówił, jest Pani śpiewanie przy kościołach, w kościołach, czy w związku z kościołami? Ja osobiście nie widzę żadnej różnicy w Pani śpiewie: tu czy tam, ale skąd się wzięła ta bliska współpraca artystki z *sacrum*?

Też nie widzę różnicy: tu czy tam. Natomiast zaczęłam śpiewać w kościołach przede wszystkim dlatego, że uważałam, iż miejscem najbardziej odpowiednim na przekazanie całego klimatu, całego ładunku emocjonalnego tego,

foto: G. Gałązka



co śpiewam, zwłaszcza w ostatnim czasie, po moich dramatycznych przejściach – szczególnie w utworze *Nic miłości nie pokona*... – powstałego po tragedii, która mnie dotknęła: stracie mojej jedynej córki. Kościół jest najodpowiedniejszą przestrzenią do – powiem wręcz – **celebrowania** tak wielkich dramatów. Tu w kontekście ofiary Chrystusa można dostrzec sens swojej, choćby przerażającej ofiary... Moje bolesne doświadczenie uczy mnie rozumieć problemy drugiego człowieka, nawet problemy świata – coraz bardziej skomplikowanego.

Ale takie dramaty na ogół dobijają człowieka, zamykają go...

Może powiem prościej: odwracają od Boga... powodują bunt. – *To jest niesprawiedliwe! To wręcz nieuczciwe!* – wołamy najczęściej do Boga... Ze mną stało się coś innego. Ja jeszcze bardziej przyglądałam się Bogu. Ale to On stał mi się bliższy ze swoim cierpieniem – przecięć za świat, za ludzi... I stało się, że bardziej pokochałam Boga – *za to trudne*... I muszę jeszcze dodać, że w tym cierpieniu jest wielka moc. To dla mnie było objawieniem, że przebaczyłam. Zdołałam. Przez mój ból dostrzegłam ogrom cierpienia innych, zwłaszcza matki zabójcy mej córki. Wiedziałam przecięć, że stała się rzecz straszna, tragiczna, ale widziałam jasno, że to tragedia obydwu rodzin. Ja doskonale rozumiem drammat matki tego chłopaka... Mojej córki nie ma, ale jej syn też prze-

padł... Ja nie wiem, czy krzyż tamtej matki nie jest cięższy od mojego... Łaska pomogła mi przezwyciężyć siebie. Ja wiem, że gdybym poddała się nienawiści, to ta nienawiść by mnie zniszczyła, po prostu zadusiła... Ja nie byłabym już tą samą *Eleni*, którą znają ludzie, moi słuchacze... Dla swoich najbliższych też nie byłabym tą normalną *Eleni*... Byłabym wcieleniem zła... A takiej mnie – nie chcieliby mieć moi rodzice. Wiem! To! Byłabym zawistna o każde dziecko, musiałabym zniechęcić wszystkie matki cieszące się dziećmi... Ja nigdy bym nie przypuszczała, że to jest do zrobienia. A jednak jest. I może powiem tak: *przyszła łaska, wielka łaska*. I uzyskałam wielki pokój, dlatego śpiewam po kościołach i gdzie się tylko da, orędzie miłosiernej, przebaczącej Miłości...

Można by rzec: Krwawiącej Miłości. W związku z tym jest Pani laureatką papieskiej nagrody im. św. Rity. Pani o tym konsekwentnie milczy...

Tak. To prawda. Jest taka nagroda watykańska dla kobiet, które przeszły, to co ja, i którym udało się przezwyciężyć własną tragedię, by stać się potem apostołami miłosiernej Miłości. Międzynarodowa Komisja przydziela tę nagrodę co roku trzem osobom. Razem z mną uhonorowano Włoszkę i Hiszpankę. W kolaudacji mówiono o mnie jako o Greczynce urodzonej w Polsce, którą uhonorowano *za Ewangelię miłości i przebaczenia, niesioną przez muzykę, zwłaszcza śpiew*. Myślę, że to, co ja otrzymałam, jest symbolicznym wyrazem szacunku dla wszystkich matek, które przeżywają podobne dramaty. Myślę również, że ta nagroda wskazuje ludzkości kierunek budowania pomostów, łatania coraz to nowych ran i, jak to pięknie powiedział Papież: *budowania cywilizacji miłości*.

I ja to śpiewam: *Jak blisko śmierć musi przejść obok nas, by człowiek zrozumiał swój los*... I mocno to punktuje. Chcę, by ludzie się ocknęli i spojrzeli na swój los, by zatrzymali się na chwilę i zdali sobie sprawę: co jest najważniejsze w życiu? By więcej uwagi poświęcali kształtowaniu w rodzinie charakteru młodego człowieka. Moim śpiewaniem chcę u ludzi spowodować, by nie jako potknęli się o moją tragedię, by się zastanowili...

Wszystkim matkom chciałabym przekazać zachętę: **Ładźcie cierpliwe i konsekwentne w wychowywaniu dzieci do pięknej miłości, ale i do odpowiedzialności oraz obustronnego szacunku.**

Redakcji i pismu *PiP* życzyć wytrwałości. Ona daje sukcesy.

Serdecznie dziękujemy i za ewangelizację miłości, i za czas nam poświęcony! Bóg zapłać! ■

**Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę
MARZEC 2004:**

**Aby Wielki Post stał się dla każdego z nas
oraz dla naszych rodzin czasem nawrócenia
i spotkania z miłością miłosiernej Miłości Boga.**

WYZNANIA HISZPAŃSKIEGO EGZORCYSTY (2)

Ojciec Jose Antonio Fortea Cucurull jest proboszczem dwóch parafii w hiszpańskim regionie Torres de la Alameda. Jeżeli ktoś w Hiszpanii czuje, że jest osobą opętaną przez najcięższą z sił, a w diecezji, w której mieszka, nie ma egzorcysty, wówczas swe kroki kieruje do o. Fortei. W zeszłym roku o. Fortea opowiedział reporterom NIE DO WIARY z telewizji TVN o swojej pracy, misji oraz o kilku przypadkach opętania. Niniejsza publikacja to fragmenty przeprowadzonego przez NIE DO WIARY wywiadu.

On jest kłamcą!



Przypadek Marty, bo pod takim określeniem jest znany w Hiszpanii, ale też i w innych krajach, to chyba najbardziej zadziwiające zdarzenie, jakie widziałem w swoim życiu. Jest też, przynajmniej, bardzo skomplikowane. A wszystko zaczęło się w sposób bardzo zwyczajny. Matka dziewczyny, o której mówię, usłyszała dobiegające z głębi domu jakieś dziwne, przypominające jakby przesuwanie mebli czy jęki, hałas. Gdy weszła do pokoju córki, zobaczyła, jak ta wije się w trudnych do opisanego konwulsjach, a jej ciało unosi się nad materacem, na którym zwykła sypiać. Już wiedziałam, że ma do czynienia z czymś ponadnaturalnym.

W kilka dni później jej córka znów wpadła w trans: oczy wywrócone zostały białkami do góry, a fotel, na którym siedziała, unosił się nad podłogę. Od tej chwili matka nie miała już żadnych wątpliwości, że jej córka jest opętana. Czym prędzej skontaktowała się z kilkoma kapłanami, którzy w końcu skierowali ją do mnie.

Wyznam, że już od pierwszych chwil, kiedy podjąłem modlitwę w jej intencji, wiedziałem, że mam do czynienia z rzeczywistym opętaniem o szczególnym charakterze. Skąd to moje odczucie? Trzeba nam sobie najpierw uświadomić, że Hiszpania, pomimo swej wielowiekowej katolickiej przeszłości, jest krajem zliczonym, a nawet ateistycznym. Pamię-

tajmy, że w niedzielnych Mszach św. uczestniczy zaledwie 20 proc. ludności. Czuję więc, że to, co przytrafiło się Marcie, pozwoli na wykrzywienie temu, coraz bardziej pogańskiemu społeczeństwu, całej prawdy o diable. Jestem głęboko przekonany, że właśnie dlatego pojawił się ten przypadek opętania – aby ludzie zobaczyli i uwierzyli, że demon naprawdę istnieje, a poprzez to uwierzyli, że istnieje Bóg, że jest niebo i piekło, że istnieje siła, którą jest różaniec.

Przeważnie przypadek opętania kończy się po pierwszym egzorcyzmie. Z wielu, jakie prowadziłem, jedne trwały pół godziny, inne godzinę czy dwie. Zazwyczaj wystarczy jedna sesja... Czasami potrzebne są dwie lub trzy sesje, ale zdarzają się też wyjątki. W przypadku Marty mieliśmy do czynienia ze skomplikowaną sytuacją, ponieważ to sekta satanistyczna przywołała demony, aby te nawiedziły ciało dziewczyny. A kiedy jeden demon zagości w danej osobie – niejako drzwi są już otwarte i inne demony mogą bez przeszkód wchodzić w człowieka. W opisywanej sytuacji nie pojawił się też nikt inny tylko sam Szatan, który przecież nie jest kolejnym, zwykłym demonem. To właśnie sprawiło, że ów przypadek był tak trudny. Poza tym Bóg powiedział, że wszystko się skończy, gdy zostanie spełniony jeden warunek, który nie zależy

ani od matki dziewczyny, ani od niej samej, ani też ode mnie...

Dziewczyna co jakiś czas wpadała w trans: milkła, wywracała oczy białkami. Objawiała się też jej jakby druga wola. Pojawiał się ktoś, kto przez nią przemawiał, ktoś o innej osobowości i innym głosie. Jednak w czasie trwania opętania codzienne życie Marty nie wskazywało na dziejący się dramat – chodziła na uczelnię, w domu czas spędzała nad książkami. Lecz wystarczyło tylko, aby matka wzięła do ręki różaniec, nawet gdzieś w zaciszu innej części mieszkania, a dziewczyna wywracała oczy, sztywniała jej w łokciach ręce, a z ust padały wulgarnie i obrzydliwe słowa kierowane do Boga, Matki Bożej, świętych. Nie oszczędzała też i swojej mamy. To, rzecz jasna, krzyczały demony, chcące zademonstrować swoją moc i siłę. Błądziły, nie czyniąc jednak nic więcej. Nie opowiadały, jak wygląda piekło czy jaki jest Bóg. Tego nigdy nie robiły. Gdy zabierały głos, miały zawsze jeden, bardzo konkretny cel – obrażanie wszelkich świętości i kierowanie człowieka w stronę grzechu. Więcej mówili wtedy, gdy im rozkazywałem: – *W imię Chrystusa, pytam: co jest potrzebne abyś wyszedł z niej!*

Trzeba bowiem wiedzieć, że jeśli ksiądz konsekwentnie pyta w imię Chrystusa, modląc się na różańcu, to niektóre demony, nie wszystkie, w końcu odpowiadają. Mówią na przykład o święconej wodzie. I kiedy kapłan kropi wodą święconą, demon wychodzi. Inne w końcu mówią, że odejdą, jak zostanie przywołany św. Michał Archanioł. I tak się działo. Pamiętamy jednak – z demonem nie wolno prowadzić żadnych rozmów, a tylko zadawać rozkazujące pytania o to, co jest potrzebne do tego, aby opuścić daną osobę. Każde inne pytanie, na przykład z dziedziny teologii czy też dotyczące tamtej strony życia są bezzasadne. Nie odpowie, albo skłamię. Bo on jest kłamcą!

Cdn.

Dziękujemy redakcji NIE DO WIARY z telewizji TVN za udostępnienie tekstu do niniejszej publikacji.

Bogdan Fałęcki zrealizował swoje marzenie o wyjeździe do Australii dopiero wówczas, gdy w firmie, w której pracuje, zmuszono go do wzięcia zaległego urlopu. Ciotka, do której wybierał się kilkakrotnie, zamieszkała w Sydney w 1961 roku. Tam wyszła za mąż za australijkę polskiego pochodzenia, jak w filmie Stanisława Barei. Tyle że bez udziału Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze. Były to wszakże czasy tak odległe, że nasz bohater najwyczałniej ich nie pamięta.

Lot nad australijskim gniazdem
Eugeniusz Zdanowicz

Ciotka Bronisława, rzecz jasna, utrzymywała bliskie kontakty ze swoją młodszą siostrą Władysławą Fałęcką i z jej rodziną. Było to tym bardziej oczywiste, że własnych dzieci nie miała.

W tamtych czasach z Australii do tak zwanej Polski Ludowej droga była niewyobraźalnie daleka, a w stronę przeciwną – prawie jak na księżyc. Ale ciotka Bronisława na przestrzeni tych czterdziestu paru lat potrafiła kilka razy odwiedzić swoich krewnych, a nawet gościć u siebie w Sydney, w nowo kupionym domu z pięknym ogrodem, swoich krewnych.

Po śmierci męża ciotka Bronisława co jakiś czas wspominała w listach o zamiarze powrotu do rodzinnego kraju. Ale wiadomo – ogród, jak każdy inny ogród, nawet taki w rajskiej Australii, wymagał ciągłej opieki. No, a przecież był jeszcze dom, który przez jakiś czas po śmierci męża trzeba było splancać. Jednym słowem, jak to w życiu, lata płynęły niepostrzeżenie.

Kiedy Bogdan Fałęcki wiosną 2003 roku przybył do ciotki, do Sydney, zastał starszą panią w znakomitej formie, zajętą od rana do wieczora domem i ogrodem, która nie wyglądała wcale na osobę wymagającą szczególnej opieki. Ciotka Bronisława miała już czas jakiś te swoje osiemdziesiąt lat, ale chyba nikt jeszcze wtedy by się tego nie domyślił. Przyjazd siostrzeńca uzmysłowił ciotce Bronisławie jej samotność na obczyźnie, która się stała, z nawyku i z natury rzeczy, drugą ojczyzną. I prawdę mówiąc, gdyby wówczas można było zapakować dom i ogród w jakiś kufer czy skrzynię, ciotka Bronisława powróciłaby do Polski razem z Bogdanem.

Co by nie powiedzieć, Polakowi życie w Australii wydaje się bajkowe. Miesiąc pełen atrakcji i wypadów w głąb kontynentu upłynął Bogdanowi Fałęckiemu niezwykle szybko. Wtedy już ciotka Bronisława zaczęła o powrocie do kraju mówić jak o czymś oczywistym, postanowionym. Ten wątek często powracał w rozmowach nie tylko z siostrzeńcem, lecz także z sąsiadami i bliższymi znajomymi, do których należeli państwo Ostenderowie.

Pan Ostender czasem pomagał ciotce Bronisławie, szczególnie po śmierci jej męża, przy drobnych naprawach w domu, a jego żona wpadała niekiedy na filiżankę herbaty. Australijczycy bowiem w swoisty sposób holdują angielskim zwyczajom.

W trakcie pobytu u ciotki Bogdan Fałęcki kontaktował się telefonicznie ze swoją żoną i z matką. Ciotka Bronisława odbierała mu słuchawkę, by porozmawiać, ustalić szczegóły związane z powrotem do Polski. Już wówczas uzgodniły, że zamieszka z rodziną Bogdana Fałęckiego, bo mieszkanie siostrzeńca jest duże i wszyscy się świetnie pomieszczą.

Siostry bardzo się cieszyły, że znów będą razem – mówi Bogdan Fałęcki. – Nie są to jednak słowa, które oddają całą prawdę o ich radości.

Ostatecznie, żegnając siostrzeńca, ciotka Bronisława zapowiedziała uroczystość, że tylko patrzeć jak się zakrzątnie wokół wyjazdu, że jak tylko uporządkuje swoje sprawy i sprzeda dom, natychmiast da znać, żeby siostrzeńiec po nią przyjechał. I na tym stanęło.

W Warszawie cała rodzina cieszyła się z powrotu kawałeczki. Zaraz też zabrano się do przygotowania dla niej pokoju. Krzątali się z wielkim oddaniem – Władysław Fałęcki, jej mąż i młodszy brat Bogdana, Paweł.

Prawdę mówiąc, wszyscy myśleli, że najbliższe święta Bożego Narodzenia spędzą już razem z ciotką Bronisławą. Tymczasem mijały kolejne tygodnie, a oczekiwany gość z Australii nie dawał znaku życia. Co tu kryć, sprawa była delikatna. Trudno starszą panią poganiąć i już tak całkiem wchodzić jej na głowę.

W końcu telefon odezwał się. Z Antypodów jednak nie dzwoniła ciotka, ale pan Ostender. To, co Bogdan Fałęcki usłyszał, w pierwszej chwili całkiem do niego nie dotarło, nie mieściło się w głowie. Coś jakby z Mrożka i Orwella, albo Kafki czy Kantora. Niby absurd, a przecież włos się jeżył na głowie.

Pan Ostender w krótkich słowach poinformował Fałęckiego, że nie ma co dzwonić do ciotki Bronisławy, bo jest ona obecnie w szpitalu!

I tu dopiero zaczyna się właściwa historia – warta opisanego, choćby dlatego że w różnych częściach świata jest pewnie więcej takich samotnych ciotek czy wujków, którzy chcieliby spędzić resztę pracowitego życia w wolnym świecie, ojczystym kraju, w otoczeniu bliskich, do których – gdzieś tam na krańcach świata – całe życie tęsknili.

Bogdan Fałęcki jest inżynierem. Pracował w kraju i za granicą. Jest w swoim zawodzie ceniony. Poznał Zachód, a je- ➔

zyk angielski nie stanowi dla niego bariery. Nie jest naiwny ani łatwowierny.

A przecież teraz, kiedy opowiada swoje australijskie przygody, trudno mu ukryć stres, zapanować nad emocjami.

Po tamtej rozmowie z Panem Ostenderem Bogdan Fałęcki zdobył z trudem numer telefonu do szpitala. Kiedy tam dzwonił, mówiono mu: ciotka czuje się dobrze, ma dobrą opiekę. I tak w kółko. Poinformowano go, że ciotka z racji wieku nie może już dłużej mieszkać samotnie i że prawdopodobnie niebawem znajdzie swą przystań w domu opieki. Rodzina przeżyła szok. Nie mogła się z tym faktem pogodzić.

Bogdan Fałęcki próbował interweniować. Szukał pomocy nawet w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie mówiąc już o tym, że kontakt z australijskim domem opieki był właściwie ciągły. Na dobrą sprawę co drugi dzień słał na jego elektroniczny adres maile, telefonował. Zważywszy na różnicę czasu, działało się to wcześniej rano albo głęboko nocą.

Aż wreszcie przyszedł list z Australii. Ciotka Bronisława bardzo wyraźnie w nim prosiła, żeby siostrzeniec po nią przyjechał, w miarę możliwości jak najszybciej. Ponieważ był już adres, znów nawiązano korespondencję i przystąpiono do przygotowań związanych ze sprowadzeniem ciotki do Polski. Dzięki pomocy pana Jacka z MSZ wierzone, że sprawa jest formalnością, tyle że załatwić ją trzeba osobiście, jadąc znowu do Sydney.

Ostatecznie Bogdan Fałęcki wyleciał do Australii na początku listopada. Chodziło bowiem o to, żeby przywieźć ciotkę Bronisławę jeszcze przed Bożym Narodzeniem, żeby te szczególne święta mogła spędzić z rodziną.

Dom opieki, w którym Bogdan Fałęcki odnalazł ciotkę Bronisławę, jest prowadzony przez organizację St. Vincente de Paul i nosi wezwanie St. Bede's. W istocie stanowi placówkę australijskiej instytucji pozarządowej, zajmującej się opieką społeczną. Pracownicy tego domu z ogromnym oddaniem i poświęceniem wykonują swoje ob-



wiązki, czego, niestety, nie można powiedzieć o kierownicze, pani Dianie, przypominającej do złudzenia siostrę przełożoną z legendarnego filmu *Lot nad kukulczym gniazdem*.

Obiekt ów jest solidnie ogrodzony, a niewielki dziedzińec wewnątrz ogrodzenia – wybetonowany. Nawet jak na polskie wymagania, warunki mieszkaniowe w owej placówce, zajmującej się przecież z urzędu opieką nad osobami starszymi, są skromne. Ku zdumieniu Bogdana okazało się, że ciotka Bronisława od wielu miesięcy nie dostaje nawet złamanego centa. Jej oszczędności, emeryturę i pozostały majątek przejęła instytucja powiernicza, tzw. Protector Commissioner. Okazało się również, że nie wolno jej wychodzić z domu, nawet do kościoła, znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy. Jednym słowem ciotka została praktycznie uwięziona, pozbawiona majątku i ubezwłasnowolniona...

Najgorsza była świadomość bezradności i poczucie niezrozumiałej krzywdy, która spada na człowieka w sposób absurdalny i tak bezduszny, że tylko krzyknąć i gryźć. W końcu po wielu naleganiach, nieraz przechodzących w awantury z kierowniczką domu, pozwolono Bogdanowi na półgodzinne

spacery z ciotką raz dziennie, od poniedziałku do czwartku. W weekendy starszka miała należeć ciałem i duszą do ośrodka. Warunkiem *sine qua non* pozwolenia na spacer miało być podanie przez naszego rodaka adresu zamieszkania i numeru telefonu. Absurd gonił absurd. Ale właśnie w tym szałenstwie jest metoda...

W rozmowie z ciotką Bronisławą Bogdan Fałęcki dowiedział się również i tego, że w istocie sprawcą nieszczęść był on sam. Że jego pierwszy przyjazd do Australii wywołał ową lawinę zdarzeń, które doprowadziły ostatecznie do *otoczenia samotnej kobiety troskliwą opieką*. Być może pozostawiona sama sobie ciotka Bronisława dożyłaby ostatnich lat we własnym domu, krzając się, szczęśliwa, w ulubionym ogrodzie...

Bogdan Fałęcki z czasem odtworzył przebieg zdarzeń. Było to mniej więcej tak. Jakoś niedługo po jego powrocie do Polski ciotka została namówiona przez rodzinę Ostenderów, aby udała się na badania do szpitala. Tam ją zatrzymano. Pewnie bezpośrednim powodem donosu było to, że pojawił się po latach ktoś z rodziny i planuje zabrać starszuskę, a przecież obywatelkę Australii, do Polski. Coś takiego musiało się

wydarzyć, bo przedtem nikt, poza kilkoma zaprzyjaźnionymi osobami, nie przejawiał najmniejszego zainteresowania osobą ciotki.

W owym czasie również ciotka Bronisława nie przeczuwała, że wokół niej i nad nią zbierają się czarne chmury pod postacią zinstytucjonalizowanej, państwowej troski o los samotnych a dysponujących choćby skromnym majątkiem ludzi. Bo bezdomnymi i tam specjalnie nikt się nie przejmując.

Ciotka Bronisława, jako osoba samotna, chętnie widywała wszystkich odwiedzających. Rozmawiała otwarcie, bo przecież niczego nie miała do ukrycia. Oczywiście, nie miała pojęcia, bo i skąd, że właśnie w czasie tych odwiedzin przygotowywano całą procedurę przejścia instytucjonalnej opieki nad nią i jej skromnym majątkiem. O tym wszystkim nasz bohater dowiedział się znacznie później, wydeptując ścieżki do kolejnych urzędów i kancelarii adwokackich.

Dla pełnego obrazu warto wspomnieć, że na kilka dni przed wylotem do Sydney Bogdan Fałęcki został telefonicznie poinformowany przez australijskiego urzędnika, że nie będzie mu wolno mieszkać w domu ciotki Bronisławy, ponieważ dom ten przygotowywany jest do sprzedaży... I chociaż sąsiadka, pani Ostender, miała klucze, to nie mogła ich udostępnić Fałęckiemu. Zabronili jej tego urzędnicy wspomnianej instytucji powierniczej, która niepodzielnie zawiadnęła majątkiem ciotki Bronisławy.

Dzięki własnym kontaktom Fałęcki dostał pokój przy wspaniałej rodzinie polskich emigrantów z 1980 roku. Oni oraz ich przyjaciele, również Polacy, jak mogli, tak doradzali mu i spieszyli z pomocą we wszystkich sprawach. Takie poświęcenie i ofiarność zdarzają się niezwykle rzadko. Tego się nie zapomina. Jednak sytuacja była nadal niezwykle trudna. Potwierdzili to kolejni adwokaci, z którymi nasz bohater nawiązał kontakt. Fałęcki zwrócił się z prośbą o pomoc do Polskiego Konsulatu w Sydney. Ciotka miała polski paszport,

wydany w 1961 roku, i nie zrzekła się nigdy polskiego obywatelstwa. Wyjechała przecież z Polski legalnie i nie miała powodu z niego zrezygnować.

Konsulat jednak odmówił mieszania się w prywatne sprawy *obywatelki Australii*, a oświadczenie, że jest ona również obywatelką Polski, uznano za niewystarczające. Potrzebne było potwierdzenie z ostatniego miejsca zamieszkania w Polsce – z Łodzi.

Wojewoda łódzki, do którego wystąpiono w tej sprawie, nie był jednak w stanie odnaleźć śladów pobytu ciotki Bronisławy w tym mieście. Prawnik konsulatu zaś, szczerzy aż do bólu, wyraził gotowość zajęcia się sprawą, wszelako za honorarium wynoszące *jedynie* 250 dolarów australijskich za godzinę.

Trudno nawet opisać drogę krzyżową, którą musiał przejść nasz bohater, żeby doprowadzić sprawę do etapu przesłuchania przed miejscowym kolegium administracyjnym, tzw. Guardianship Tribunal. Instytucja ta otrzymała wcześniej całą dokumentację pokazującą, że po powrocie do kraju ciotka Bronisława będzie miała równie dobre (lepiej?) warunki życia niż te, które zapewni jej St. Bede's Home for Aged.

Adwokat australijski, którego polecono Bogdanowi, a który zaproponował, że pobierze honorarium po wygraniu sprawy, zapewniał, że wszystko jest na dobrej drodze. Widział duże szanse na wygranie sprawy i przejście od kuratora tzw. Public Guardian opieki nad ciotką i prawa do decydowania o niej.

Podczas przesłuchania okazało się jednak, że *lepiej będzie jeśli ciotka Bronisława pozostanie w domu opieki*. I nic tu nie pomogły łzy starej kobiety, która całą duszą wyrwyra się do swoich bliskich, do ojczystego kraju.

Ostatecznie, po negatywnej decyzji kolegium, adwo-

kat australijski nawiązał z tą instytucją kontakt i ustalił, że ciotka mogłaby być *wypuszczona* z Australii, ale jej majątek pozostanie wciąż pod nadzorem instytucji powierniczej. Otrzymałyby jedynie co pół roku środki na swoje utrzymanie, a Bogdan Fałęcki musiałby przedstawiać kosztorysy i rachunki dokumentujące ich wydatkowanie. Ot, wolny świat, wolnego przepływu ludzi i kapitału....

Okazało się przy tej okazji, że zdanie ciotki Bronisławy w całej sprawie nie miało żadnego znaczenia, natomiast przy skromnym majątku ogromne.

Bogdan Fałęcki przyjął twarde warunki. Cała rodzina liczy, że tym razem na święta Wielkanocne ciotka Bronisława nareszcie wróci do Polski...

Eugeniusz Zdanowicz

Ps.:

Wszystkie opisane fakty i zdarzenia są, niestety, autentyczne. Jedynie nazwiska osób występujących w niniejszej opowieści zostały zmienione.

Czasopismo jakiego jeszcze nie było!

W naszym nowym miesięczniku znajdziesz:

- Świadectwa cudów i łask, uzdrowień i nawróceń ● artykuły na temat cudownych i niewytłumaczalnych zjawisk i wydarzeń ● opisy niezwykłych wydarzeń z życia świętych, błogosławionych i sług Bożych

W marcowym numerze m.in.:

- Cud beatyfikacyjny i kanonizacyjny o. Rafała Kalinowskiego
- Ojca Benignusa Wanata pomagania z rakiem i nadzwyczajna pomoc Matki Bożej Szkaplerznej z Czernej
- O tym, jak Matka Boża uratowała dziecko poturbowane przez samochód



Kup! Przeczytaj! Powiedz o nas innym!
Uwaga! Promocyjna cena – jedynie 1 zł.

Warunki prenumeraty:

Odbiorcom indywidualnym proponujemy prenumeratę pocztową półroczną (6 numerów) w cenie 14 zł wraz z przesyłką oraz prenumeratę roczną (12 numerów) w cenie 28 zł wraz z przesyłką.

Prenumeratę „Cudów i Łask Bożych” dokonuje się wplacając odpowiednią kwotę na konto:

Wydawnictwo AZ sp. z o.o., ul. Krowoderska 24/3, 31-142 Kraków, PeKaO SA i O/Kraków, nr rachunku:

74 1240 1431 1111 0010 0120 8729

Dział prenumeraty – tel. (0*12) 428 49 10.

ZMIERZCH ROZUMU OŚWIECZONEGO (4)

Demony intelektu

Przykładem pisarza, który zdobył światową sławę bardziej chyba jako idol kultury masowej niż jako pisarz, był Hemingway. Wcielał mit silnego mężczyzny biorącego udział w wojnach, poszukującego mocnych wrażeń, ryzyka i walki, mierzącego się z wyzwaniem i niebezpieczeństwami, lubiącego polowania, walki byków, egzotyczne wyprawy, kobiety i alkohol. Zniszczył go własny mit, powodzenie i wielbiciele, żądający coraz więcej, złudzenie życia w pełni sił i młodości, alkohol. Gdy nie mógł już sprostać własnemu mitowi, gdy skończył się jako pisarz i poczuł starość, popełnił samobójstwo.

Wyzwolony, działający całkiem samodzielnie i bez ograniczeń rozum przysporzył, co widać po rezultatach więcej chaosu niż porządku. Utopia ziemskiego raju mającego powstać dzięki rewolucyjnemu radykalizmowi nie została zrealizowana. Zło dawne zastąpiło złem nowym, kto wie, czy nie większym. Nowi przywódcy, mistrzowie intelektu, kapłani nowej humanistycznej religii, która okazała się pseudoreligią, byli usurpatorami, fałszywy-

mi prorokami lub, w najlepszym razie, naiwnymi utopistami. To nieublagany bilans najbardziej postępowych tendencji modernizujących ten świat.

Czy zło, które w ten, załóżmy nawet, niezamierzony sposób powstawało, spowodowane przez tych nieświadomych rzeczy, pokuszonych przez bałwochwalstwo rozumu, pychę intelektu, zadufanie we własne siły, czy to zło wprowadzone przez obłudne złudzenia nie było także złem? To niepokojące pytanie musi nasuwać się po trzech stuleciach biegu historii w tym właśnie niewiadomym kierunku. W postaciach najbardziej znanych ludzi tej epoki skupia się właśnie rozpaczyliwie często, choć ukryte, tragiczne w skutkach poszukiwanie wyjścia z pułapki. Ich próby i odpowiedzi były najczęściej mylące, wybitni w swych dziedzinach, omamieni swymi talentami, wierzyli we własną wszechmoc. Rodząca się religia nadszłości okazała się jeszcze jedną mrzonką, stała się złowieszczą karykaturą dawnej religii. Wiara w sztukę, kulturę czy naukę nie zastąpiła wiary religijnej, nie zaspokoila fundamentalnych



fot. P. Życieński

potrzeb człowieka. Największym jednak śmiertelnym błędem stało się zrównanie wszelkich, pozytywnych i negatywnych wartości, przede wszystkim zaś usprawiedliwienie zła i przemocy jako środków prowadzących do iluzorycznego dobra. Tym, którzy dopuścili stosowanie zła i przemocy odpowiedzieli nieświadomie, lecz samobójczo ci, którzy głosili idee niesprecyzowania zła i zła rozumianej filantropii. W ten sposób błędne koło się zamknęło. Demony intelektu zostały wyzwolone. Sam rozum okazał się jednak zbyt mały i zbyt ciemny, by rozświetlić wszelkie tajemnice i pokierować przewyższającymi jego możliwości drogami człowieka.

Koniec
Marek Klecel

TAK SZATAN OCENIA CZŁOWIEKA

Nigdy nie zdołasz zrozumieć – mówią Szatan – jak bardzo nienawidzę was, ludzi. Jak bardzo jesteście wstrętni. Chlubicie się najwyższą godnością wśród zwierząt, a jesteście z nich najohydniejsi. Wasze istnienie budzi we mnie wstręt. Sądzicie, że jesteście inteligentni, a okazujecie się bardzo głupi. Wystarczyłoby zobaczyć, co wam podsuwam przez wielu naukowców, którzy są na mojej służbie, i co daję wam w formie napuszonych, uczonych bredni.

Pomyśl o tym, czym poję i karmię przez moją prasę! Wy mielibyście być Jego najszlachetniejszymi

stworzeniem? Wystarczy parę świństw, aby was kupić. Zaraz podajecie się pokusom moich posłańców. Przywiązujecie wielką wagę do waszej wolności, a pozwalacie się schwytać w moją niewolę. Och, jakie kpiny mogę sobie z was stroić w imię tej waszej wolności... Wiele zyskał Ten – tam, że przelał krew, aby was odkupić? Odkupić was od czego, od grzechu? Przecież nurzacie się w nim tak, że omal nie utoniecie! A co dopiero mówić, gdy wywołam wśród was ducha zazdrości, oszczerstw, nienawiści, rywalizacji, zemsty...

Innym razem Szatan wyznaje: *Maryja jest tą, która wprowadza ogromne zamieszanie w moich planach. Jest niszczycielką mojego królestwa. Nie pozwala odnieść mi zwycięstwa i już przygotowuje mi klęskę? Ciągłe płacę mi, wciąż przeszkadzając, przecinając mi drogę, podpuszczając swoich fanatyków do odbierania mi dusz. Tam, gdzie sięgają moje głośnie podboje, Ona w rozprzestrzeniającej się ciszy mnoży swoje zwycięstwa...*

Relacja sporządzona przez znanego jezuitę o. Domenico Mondrone podczas rytualnego wykonywania egzorcyzmów.

Mit przeludnienia

Pojęcie przeludnienia przestało już funkcjonować w demografii. Naukowcy przyznają, że światu bardziej grożą konsekwencje towarzyszące wyludnieniu niż przeludnieniu. Od 1965 roku wskaźnik rozrodczości na świecie zmalał z poziomu 5 dzieci do 2,7 dziecka na kobietę. Wskaźnik płodności nawet w krajach rozwijających się spadł poniżej poziomu zastępowalności pokoleń (2,1 dziecka na kobietę). W najludniejszych krajach świata: Bangladeszu, Brazylii, Egipcie, Chinach, Indiach, Indonezji, Iranie i Meksyku notuje się wskaźniki płodności nie przekraczające 2,1 dziecka na jedną kobietę. Europa się starzeje, w niektórych państwach zmniejsza się liczba ludności.

Jednak nadal ideologia oparta na mitycznym przeludnieniu jest obecna w mediach i ma wpływ na konkretne działania. Współcześnie mit przeludnienia jest traktowany przez organizacje aborcyjne jako *usprawiedliwienie* ich działalności. W ten sposób konsekwencjami mitu przeludnienia są m.in. przymusowa sterylizacja milionów kobiet oraz

aborcja – zabijanie poczętych dzieci. W Chinach polityka jednego dziecka w rodzinie powoduje miliony tragedii – śmierć dzieci, okaleczenia kobiet i dramaty rodzinne. Środki na tę działalność pochodzą m.in. z Funduszu Ludnościowego ONZ (sponsowanego m.in. przez Unię Europejską). W niektórych krajach (jak Filipiny) sterylizacji i aborcji dokonuje się bez wiedzy kobiet, przy okazji innych zabiegów medycznych.

Organizacje międzynarodowe często uzależniają pomoc finansową krajom ubogim od wprowadzenia polityki antyludnościowej. Działania takie podejmowane są na skalę międzynarodową. Ich uzasadnieniem, oprócz mitu przeludnienia, mają być mity dotyczące braku żywności oraz rzekomego wyczerpywania się źródeł energii. Zbyt duża liczba ludności ma rzekomo powodować głód. Tymczasem ujmując problem globalnie, produkcja żywności rośnie szybciej niż przyrost ludności. Współcześnie głód spowodowany jest niewłaściwą dystrybucją żywności, nieskuteczną pomocą humanitarną oraz złą polityką go-

spodarczą (związaną m.in. z ogromnym zadłużeniem państw rozwijających się). Jean-Francois Revel, pisarz, publicysta, członek Akademii Francuskiej stwierdził: *Nieudolne rządy i brak demokracji są główną przyczyną głodu w Afryce*. Warto nadmienić, że tylko 22 proc. afrykańskich ziem nadających się pod uprawę jest obecnie uprawianych. Światu nie grozi wyczerpanie źródeł energii: energia słoneczna docierająca na Ziemię przewyższa 10 tysięcy razy światowe zapotrzebowanie na energię, zaś podaż energii wiatru czterokrotnie przekracza globalne zapotrzebowanie energetyczne.

Trzeba podkreślić, że lęk przed przeludnieniem i głodem – towarzyszący ludzkości od zarania dziejów – jest od kilkudziesięciu lat sztucznie podsycany i wykorzystywany do propagowania aborcji. Istnieją, niestety, międzynarodowe organizacje, które głodującym, ubogim i dotkniętym tragedią wojen narodów oferują... aborcję i środki wczesnoporonne. Warto zdać sobie sprawę, że kontrola urodzeń, przedstawiana jako remedium na biedę i głód, jest źródłem ich potężnych zysków.

Polskie Stowarzyszenie
Obróńców Życia Człowieka

ZDOBĄDŹ INDEKS STUDIÓW DZIENNIKARSKICH

Ruszyła III edycja *Konkursu Akademickiego o Indeks im. bp. Jana Chrapka CSMA*. Zwycięzcy mogą zdobyć indeksy na studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim lub Jagiellońskim oraz stypendium naukowe.

Kto może wziąć udział w Konkursie?

Konkurs adresowany jest do tegorocznych (maturzystów z miejscowości do 10 tys. mieszkańców), którzy osiągnęli bardzo dobre wyniki w nauce (średnia ocen z ostatniego półrocza nie niższa niż 4,5), interesują się dziennikarstwem i mają już za sobą pierwsze próby w tej dziedzinie, a miesięczny dochód w ich rodzinie (w przeliczeniu na osobę) nie przekracza 560 zł brutto.

Co trzeba zrobić, by wziąć udział w Konkursie?

Komisja Konkursu Akademickiego, w skład której wchodzi przedstawiciele uczelni, Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia oraz najlepsi polscy dziennikarze, ustaliła następujące tema-

ty prac konkursowych:

- ustosunkuj się do tezy: *W życiu nie ma nic za darmo* – esej lub artykuł publicystyczny (do 6 tys. znaków, czcionka 14);
- przedstaw w formie reportażu temat: *Konflikt w najbliższym środowisku i jego pozytywne rozwiązanie przez uczestników* (do 10 tys. znaków, czcionka 14).

Uczestnicy Konkursu powinni ponadto nadesłać swój dotychczasowy dorobek dziennikarski (termin nadsyłania prac upływa 15 kwietnia 2004 r.) na adres:

Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia
Skwer Kard. Stefana Wyszyńskiego 6
01-015 Warszawa



fot. G. Galazka

Więcej szczegółów na stronie:
www.dzielo.pl

STAROŻYTNÓŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA (8)

W Antiochii istniała wspólnota chrześcijańska od czasów Apostolskich. Jednym z wielkich świętych biskupów Antiochii był w I wieku św. Ignacy męczennik – stąd jednym z imion noszonych przez patriarchów jest zawsze imię: Ignacy. Stopniowo Antiochia stała się silnym ośrodkiem chrześcijańskim, ze swoją szkołą teologiczną i rzeszą wybitnych teologów, jak wspomniani już w tym cyklu wielokrotnie Diodor z Tarsu, Jan Chryzostom czy Teodor z Mopsuetii. Wokół miasta znajdowały się silne ośrodki monastyczne opisane przez Teodora z Cyru. Równocześnie jednak to właśnie w Antiochii powstawały załężki arianizmu oraz nestorianizmu. Dodajmy, że była ona również silnym ośrodkiem kultury pogańskiej, z niej wywodził się np. wielki retor Libaniusz, nauczyciel św. Jan Chryzostoma. Syria, której stolicą była Antiochia dzieliła się wyraźnie na dwie strefy: miejską, z językiem greckim i większą z dominującym językiem syryjskim.

po zakończeniu Soboru Chalcedońskiego część mieszkańców Syrii nie przyjęła jego nauki i nastąpił rozłam. Ludność podzieliła się na dwie grupy: ludność pochodzenia greckiej (mieszkańca przeważnie w miastach) na ogół przyjęła chalcedońskie wyznaczenie wiary, podczas gdy mieszkańcy wsi pochodzenia syryjskiego oraz część ludności greckiej jej odrzuciła. Ponieważ istniała bardzo silna presja ze strony władz państwowych, posunięta aż do krwawych prześladowań, liczba przeciwników Chalcedonu wydatnie się zmniejszała i wyglądało, że Syria powróci do ortodoksyjnego chalcedońskiej.

Wtedy w Konstantynopolu został konsekrowany, na prośbę ludności arabskiej, przez uwięzionego w stolicy biskupa Aleksandrii, mnich Jakub, następnie zwany Baradaj (+578; Łachmaniarz). Jakub z niesłychaną gorliwością rozpoczął misję wśród ludności syryjskiej, wyświęcając kapłanów i konsekrując biskupów. Otrzymał wsparcie od Kościoła monofizyckiego w Egipcie. Jakubowi właśnie zawdzięcza się powstanie nie-chalcedońskiego Kościoła syryjskiego, nazwanego od jego imienia *jakobickim*, którego zwierzchnikiem był patriarcha Antiochii. Tak powstała podwójna hierarchia kościelna w Antiochii: patriarcha melkicki (czyli kościoła oficjalnego) i patriarcha jakobicki, który jednak nie rezydował w Antiochii, ale w jednym z klasztorów, który nie przyjął

chalcedońskiego wyznania wiary.

Kościół jakobicki w VI w. w Syrii przeżywał swój rozwój, jego największym teologiem a zarazem patriarchą jest Sewer, wygnany zresztą przez Justyniana. Obok niego działał Piotr Iberyjski, biskup Majumy, syn księcia Gruzińskiego. Monofizyci syryjscy pozostawali w związku z innym dobrze zorganizowanym Kościołem niechalcedońskim – Kościołem koptyjskim, toteż w Egipcie

Kościół syryjski
ks. Marek Starowieyski

znajdują schronienie wygnani z Syrii Jakobici. Jednak tarcia, czasami ambicyjne, czasami doktrynalne, powodują nieustanne spory tych dwóch Kościołów, a ponadto w VI i VII w. silne tarcia rozdzierały sam Kościół jakobicki.

Kościół jakobicki rozwijał się również i poza granicami Cesarstwa, jako że istniały wielkie kolonie syryjskie w Persji, który stopniowo w znacznym stopniu uniezależnił się od patriarchatu. Perski Kościół jakobicki rozwijał dynamiczną działalność misyjną, podobnie jak nestorianie i ich misjonarze docierali do Chin i Afganistanu. Kościół jakobicki liczył 21 metropolii i ponad

sto diecezji. Ten ruch misyjny osłabł wraz z rozwojem islamu na terenach Azji, szczególnie wśród Mongołów, a następnie wraz ze zwycięskim pochodem Turków Seldżuków. Równocześnie rozwijała się wielka literatura syryjska monofizyczna, która skończyła się gdzieś w wieku XIII. Jest to, jak widzimy, sytuacja podobna do tej, w której znalazł się Kościół nestoriański

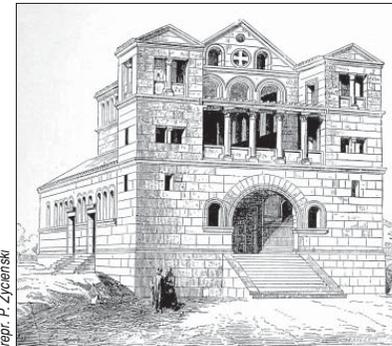
Jakobici przyjęli Arabów jako zwolniceli od prześladowań cesarzy bizantyjskich i na ogół nie byli prześladowani za czasów względnie tolerancyjnej dynastii Omajadów, natomiast gdy po nich nastąpiła dynastia Abbassydów, zaczęło się prześladowanie wszystkich chrześcijan. Wtedy to, w IX w., urywają się linie obydwu patriarchów (melkickich i jakobickich) w Antiochii i wtedy właśnie to maronici, wybierając sobie przełożonego, uznają go za patriarchę Antiochii. Z czasem odnowiono patriarchat melkicki i jakobicki, i w ten sposób dziś pięciu patriarchów nosi tytuł patriarchy Antiocheńskiego (w tym trzech katolickich).

Z krzyżowcami jakobici utrzymywali stosunki poprawne. Jednak po ich odejściu zaczynają się znowu prześladowania wszystkich chrześcijan w Syrii, tak-

że i jakobitów.

Od XIII w. rozwija się w Kościele jakobickim ruch zbliżenia z Rzymem spowodowany działalnością misji franciszkańskich i dominikańskich, później zaś jezuitów. Ten ruch jest wyjątkowo silny, szczególnie w czasach Soboru Florenckiego, kiedy to zdaje się, że Kościół jakobicki przyjmie unię. Wielu też patriarchów wysłało swoje wyznaczenie wiary do Rzymu, kończyło się to jednak zazwyczaj na indywidualnym przyjęciu katolicyzmu, tym bardziej ze względu na odległość od Rzymu oraz na intrygi Turków starających się skłócić chrześcijan.

Trwała unia nastąpiła w wieku XVIII w, kiedy arcybiskup Aleppo Michał Garweh w 1774 r. przyjął katolicyzm i został wybrany patriarchą w 1781 roku.



repr. P. Życieński

Spowodowało to jednak schizmę wśród jakobitów, patriarcha musiał uciekać do Libanu i zamieszkał w Szarfe. Ten Kościół uznali Turcy dopiero w 1829 r. Rozwijał się on dynamicznie w XIX i XX w.: zwolano 3 synody powszechne, a przywołał mu wybitni patriarchowie, jak Efreim II Rahmani (+1929)

Spowodowało to jednak schizmę wśród jakobitów, patriarcha musiał uciekać do Libanu i zamieszkał w Szarfe. Ten Kościół uznali Turcy dopiero w 1829 r. Rozwijał się on dynamicznie w XIX i XX w.: zwolano 3 synody powszechne, a przywołał mu wybitni patriarchowie, jak Efreim II Rahmani (+1929)

i Gabriel Tappuni (+1967) – pierwszy kardynał syryjski aktywnie działający na II Soborze Watykańskim.

W XX w. nastąpiły wielkie prześladowania Kościoła syryjskiego – pogromy chrześcijan w Iraku i w południowej Turcji spowodowały masową emigrację, np. z Tur Abdin i z okolic Mardin, to jest z jedynej dotąd chrześcijańskiej części Turcji.

Przypominamy, że w XVII w., kiedy w Indiach nastąpiły silne tendencje latynizacyjne, część chrześcijan przeszła pod obediencję Kościoła syryjskiego jako autonomiczny Kościół w ramach Patriarchatu syryjskiego, jednak w 1912 ogłosili oni powstanie Kościoła autokefalicznego z własnym katolikosem (dwie grupy zwalczające się nawzajem – wierni

Kościółowi Matce i zwolennicy autokefalii, po około miliona wiernych każda), czego nie udało się syryjski. Kolejne spory spowodowały powstanie z części wiernych, pod wpływami anglikańskimi, Kościoła syryjskiego Mar Tomasa w Malabarze (około 700 000).

Dziś Kościół syryjski katolicki posiada około 110 000 wiernych, podczas gdy Kościół syryjski niekatolicki ma ich około 250 000 w Syrii oraz około miliona w Indiach. Patriarchą katolickiego Kościoła syryjskiego jest Ignace Pierre VIII Abdel-Ahad, który rezyduje w Bejrucie (Liban). Dodajmy, że pretektem Kongregacji do Spraw Kościołów Wschodnich jest emerytowany patriarcha Kościoła syryjskiego kard. Ignace Moussa I Daoud.

Syryjczycy posiadają swoje centra w Syrii, Libanie, Iraku oraz w Europie Zachodniej (Francja, Holandia) i w Stanach Zjednoczonych. Używają liturgii rytu antiocheńskiego sprawowanej w języku syryjskim lub arabskim. ■

BIBLIOTEKA im. JANA PAWŁA II NA WARSZAWSKIM BEMOWIE

– *Niech to miejsce stanie się łodzią, dzięki której będzie można wytywać na głębię mądrości – powiedział proboszcz michalickiej parafii ks. Karol Dąbrowski CSMA w czasie Mszy św. odprawionej przed oddaniem do użytku przykościelnej biblioteki w parafii Matki Bożej Królowej Aniołów.*

Łódź mądrości

Biblioteka, która swą siedzibę znalazła w domu parafialnym tuż obok świątyni, nosi imię Ojca Świętego Jana Pawła II i stanowi wotum wdzięczności za 25 lat Jego pontyfikatu. Na kompleks naukowo-badawczy, mający służyć zgłębianiu myśli teologicznej i poznawaniu historii apostołskiego posługiwania Papieża Polaka, składają się (oprócz liczącego kilka tysięcy woluminów księgozbioru) przestronna czytelnia i także sale wykładowe, w zaciszu których wygłaszane będą prelekcje formacyjne a także prowadzone będą spotkania z wybitnymi postaciami życia kulturalnego i akademickiego naszego kraju.

Poświęcenia bibliotecznego pomieszczeń dokonał 8 lutego br. nuncjusz apostolski w Polsce abp Józef Kowal-

czyk (Arcybiskup przewodniczył również uroczystościom liturgicznym), któremu towarzyszyli: generał michalitów ks. Kazimierz Tomaszewski oraz członkowie Zarządu Zgromadzenia św. Michała Archanioła.

– *To jedna z ważniejszych chwil w życiu naszej dzielnicy – twierdziła w rozmowie z reporterem PiP pani Maria Tyczyńska, związana z bemońską parafią prawie od początku jej istnienia – Dzięki michalickim inicjatywom na tym naszym, co tu dużo mówić, kulturalnym odludziu, mamy wreszcie jakby oazę normalności. Biblioteka nosząca imię Wielkiego Papieża i Wielkiego Polaka wspaniale dopełnia trwające już na terenie parafii zakonne dzieła: posłuży zarówno uczestnikom zajęć w ośrodku*

profilaktyczno-wychowawczym MICHAEŁ, jak i dzieciom gromadzącym się w oratorium U MICHATKA.

Myśl o powołaniu do istnienia na warszawskim Bemowie Biblioteki im. Jana Pawła II zrodziła się z inicjatywy ks. Karola Dąbrowskiego CSMA w kwietniu 2003 roku, a wśród honorowego komitetu jej powstania znaleźli się m.in. biskup połowy Wojska Polskiego i zarazem przewodniczący Komisji Episkopatu Polski do spraw Środków Społecznego Przekazu – bp Sławoj Leszek Głódź, generał michalitów – ks. Kazimierz Tomaszewski, radni Bemowa i innych stołecznych dzielnic, a także rektory warszawskich uczelni – Politechniki, Uniwersytetu Warszawskiego i Wojskowej Akademii Technicznej.

Paweł Smogorzewski

Patrz:
fotoreportaż na str. 28 (kontroladka)

Stefan Niesiołowski

Wybiórcza pamięć

Niedawno obchodzone: 80. rocznica śmierci Lenina i zbliżająca się 51. rocznica śmierci Stalina po raz kolejny potwierdzają niezasłużenie odmienne traktowanie dwóch zbrodniczych systemów totalitarnych XX wieku: nazizmu i komunizmu. I chociaż nie ulega wątpliwości, że Rosja jest dziś w znacznym stopniu państwem demokratycznym (w każdym razie jest najbardziej demokratyczna w swojej historii, nie licząc krótkiego epizodu rządu Kiereńskiego po rewolucji lutowej w 1917 roku), to przewyżczenie komunizmu polega, jak na razie, co najwyżej na udawaniu, że go nie było. To trochę tak, jakby w Niemczech proklamowano wolność słowa i wolne wybory, zlikwidowano *gestapo* i obozy koncentracyjne, ale rządy sprawowali by nadal drugorzędni *gauleiterzy*, a na centralnym placu Berlina stałoby mauzoleum Hitlera.

Pisać można dziś w Rosji absolutnie wszystko. Ukazują się książki, w których zamieszczane są do niedawna najtajniejsze fotografie, między innymi Lenina popychanego na inwalidzkim wózku, z beznamiętnym zidiociałym wyrazem twarzy, publikuje się rozważania na temat spisku Berii, mającego na celu pozbycie się Stalina, który w swym starczym ogłupieniu planował, zapoczątkowaną spiskiem lekarzy, kolejną czystkę, mającą się rozpocząć od jego najbliższych wieloletnich współpracowników. Ogłasza się wstrząsające reportaż o głodzie na Ukrainie, przypadkach ludożerstwa, wymianie pomiędzy rodzinami dzieci przeznaczonych do zjedzenia, potwornych zbrodniach popełnianych w imię komunistycznej utopii, tortur, egzekucji, ślepego doktrynerstwa mającego usprawiedliwiać wszystko.

Ale jednocześnie tysiące ludzi demonstruje z portretami Stalina, a w Gruzji Stalin uchodzi za narodowego bohatera, wielkiego świętego, rycerza bez

skazy, na którego nie można powiedzieć nic złego, który chciał dobrze, a za całe ewentualne zło ponoszą odpowiedzialność źli doradcy. Dla bardzo wielu Rosjan Lenin jest jednym z najwybitniejszych ludzi w historii, jego mauzoleum jest atrakcją nie tylko turystyczną, pomniki stoją zresztą prawie na całym obszarze byłego Związku Sowieckiego, ich burzenie spotkałoby się ze zdecydowanym sprzeciwem.

Ostatnio pojawiają się pomysły odbudowania pomnika twórcy *CzK* – psychopatycznego oprawcy – Dzierżyńskiego. Z drugiej strony, dla młodego pokolenia historia nie ma żadnego znaczenia, co niektórym wydaje się korzystne, ale pozwala zapomnieć o ponurej przeszłości, stanowiąc rodzaj terapii zbiorowej, ale może być groźne i prowadzić do tęsknoty za jakąś *poprawioną* dyktaturą. Ignorancja, zbiorowa amnezja i wybiórcza pamięć historii to kruche fundamenty demokratycznego porządku.

Okazuje się, że wieloletnie fałszowanie historii przynosi efekt, nawet gdy historia fałszowana jest daleko subtelniej i w zasadzie nie ma już dla niej tematów zakazanych. W drukowane w zbiorową pamięć kłamstwo, np. o dobrym Leninie, którego idee zostały wypracowane przez Stalina, uchodzi za prawdę niewzruszoną. Podobnie jak podtrzymywany także przez stanowczo zbyt wielu zachodnich historyków mit o genialnych strategach: Żukowie i Tuchaczewskim. Według tych historyków, gdyby Stalin słuchał owych genialnych strategów nie doszłoby do wojny lub III Rzesza zostałaby rozbita już w lipcu 1941 roku. W rzeczywistości Żukow był szafującym ludzkim życiem żołdakiem, odpowiedzialnym za nieprzygotowanie do wojny i liczne klęski *Armii Czerwonej*, a Tuchaczewski zwyciężał tylko wtedy, gdy miał za przeciwników nieuzbrojonych chłopów z Tambowa



foto: P. Zyczeński, Pomnik J. Stalina - Warszawa 2004

lub zbuntowanych marynarzy z Kronstadt, bo w starciu z mniej więcej równorzędnym przeciwnikiem – polską kawalerią, poniósł sromotną klęskę. Nie dokonano rozliczenia zbrodni komunizmu, nawet w wymiarze symbolicznym, co niektórym wydaje się korzystne, ale pozwala zapomnieć o ponurej przeszłości, stanowiąc rodzaj terapii zbiorowej, ale może być groźne i prowadzić do tęsknoty za jakąś *poprawioną* dyktaturą. Ignorancja, zbiorowa amnezja i wybiórcza pamięć historii to kruche fundamenty demokratycznego porządku.

Jednak i w Polsce rocznica śmierci Lenina była raczej przemilczana, odnotowana co najwyżej we wzmiarkach prasowych i programach informacyjnych prywatnych telewizji, a sam Lenin staje się postacią coraz bardziej alegoryczną – taki rodzaj jakiegoś rosyjskiego *Dziadka Mroza*. Pod tym względem coraz bardziej przypomina to sytuację w Rosji, gdzie masowo sprzedawane są podobizny, metalowe figury, znaczki, fotografie, plakaty i różne tego typu akcesoria z wódkami sowieckiej wersji komunizmu. Tak samo w Polsce komunistyczni zbrodniarze przechodzą do obszaru *zona* i wystroju typowym dla obozu pracy. Trudno sobie wyobrazić nocny lokal z przyczmami, ścianą straceń i komorami Oświęcimia. Zdumiewająca jest nonszalancja, arogancja i brak symetrii w traktowaniu ofiar nazizmu i komunizmu. ■

KINO

Miasto bez Boga

Produkcje takie jak *Guerillos są zmęczeni* Brunona Baretto z 1996 roku oraz *Dworzec nadziei* Waltera Sallesa wyznaczają pozycję kina brazylijskiego na świecie. Teraz na ekrany naszych kin weszło *Miasto Boga* w reżyserii **Fernando Meirellesa**. Film, o którym będzie i powinno się jeszcze długo mówić. Jego fabułą jest oparta na faktach wstrząsająca kronika z życia brazylijskiej ulicy. Narkotyki i wojna gangów, nędza i przemoc – to mieszanica wybuchowa, której nazwa brzmi słumsy Rio de Janeiro. Każdy, kto się tam urodził, żyje z wyrokiem. Film rozgrywa się na przedmieściach Rio – *Cidade de Deus*, tytułowym Mieście Boga. Nazwa to, przyznać trzeba, dość ironiczna, bo dzielnica jest raczej przedsiönkiem piekła.

Bohaterami są dzieci ulicy. Dla nich takie pojęcia jak narkotyki, wojna gan-

gów, nędza i wszechobecna przemoc nie są pustymi słowami, ale niosą ze sobą piętno dnia codziennego. Żyje się tu krótko i zbyt szybko dojrzewa. Życie jest upadające, podporządkowane rządowi bandytów. Gdy jesteś plotką, musisz wykonywać każde polecenie szefów. Nawet jeśli ma to być zabicie najlepszego kolegi czy zdrada przyjaciół. Śmierć zadawana jest często przypadkowo i bez powodu. W tym świecie nie ma Boga. Z takiej *faveli* nie ma ucieczki.

W jednej z bardziej wstrząsających scen nastoletni chłopiec pyta: – *Palę, wciągam i zabijam. Czy nie jestem już mężczyzną?* Film aż do przesady emanuje przemocą i brutalnością. Powoduje to, że nawet widzowie popadają w zobojętnienie, podobnie jak mordercy. A przecież ci ludzie w *Cidade de Deus* żyją naprawdę w takich warunkach.

CHWILA MUZYKI

Przypowieść

Wśród niezliczonych przypowieści, którymi nasz Mistrz przemawiał do *tych, co mają uszy do słuchania*, jedna szczególnie wydaje się być tą przeznaczoną dla artystów – jest to przypowieść o talentach. Bo oto tym właśnie, co spędza sen z powiek młodocianym – i nie tylko – adeptom sztuki, jest pytanie: *czy mam dość talentu?* I czasem pretensja, że Stwórca, przez pomyłkę, nie obdarzył mnie wystarczającym potencjałem, abym: odniósł oszałamiający sukces, zarobił mnóstwo *kasy*, podbił swoją muzyką świat i aby imię moje utrwaliło się na pokolenia w pamięci wiernych *fanów* i w podręcznikach dla, Bogu ducha winnych, uczniów szkół wszelkich

typów. A skoro to jest nieosiągalne, to może lepiej w ogóle od razu się poddać. Czy takie myślenie przystoi wynawcy Chrystusa?

A przecież w tej przypowieści jest wszystko: informacja o tym, że Pan nie po równo obdarza nas talentami, i o tym, że nie wyłącznie sukcesów na światowym *topie* od nas wymaga jako *produktu* naszego życia, a także i o tym, że jednak oczekuje od nas jakiegoś efektu na miarę naszych możliwości; bo jest przecież jasne, że ci obdarzeni jednym talentem nie mogą osiągnąć tyle, co ci obdarzeni pięcioma czy nawet dwoma. A w świecie, jak pokazuje statystyka, jest niewielu tych drugich i trzecich,

większość, niestety, to ci pierwsi. I to oni – czyli w istocie *my prawie wszyscy* – są narażeni na pokusę odrzucenia daru Bożego. Stawiamy sobie zbyt wysokie wymagania, których nie możemy spełnić. To się nazywa chyba – *pychą?*

Na szczęście wciąż jest wielu takich, którzy z pokorą akceptują swoje miejsce w świecie sztuki: muzycy w *trzeciologicznych* orkiestrach, instruktorzy śpiewu w prowincjonalnych domach kultury, nauczyciele muzyki w szkołach, organiści w wiejskich kościołach. Chwała wam – bo kiedy nadejdzie dzień Wielkiego Bilansu, wasze dokonania załnią niczym gwiazdy, na równi z tymi o *światowym* wymiarze.

A tym, którzy zbyt mało zainwestowali, nawet i to niewiele będzie odebrane.

Maria Szreder

CZAS DAĆ ŚWIADECTWO PRAWDZIE!

Po ostatecznym orzeczeniu o konieczności zwrotu (już w obecnej chwili żałosnych resztek) mienia Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, zarekwirowanego za czasów niesławego stanu wojennego przez komunistyczne władze i przekazanego lekką ręką Stowarzyszeniu Dziennikarzy PRL (obecna nazwa Stowarzyszenie Dziennikarzy RP), wśród członków tejże organizacji szerzony jest pogląd, jakoby zostali okradzeni, co prawda w majestacie prawa i z przyczyn politycznych, przez SDP.

Uwiódł ich Generał

Rozumiejąc rozgoryczenie członków SDRP chociażby faktem, że taka ostateczna decyzja zapadła za rządów obecnych socjaldemokratów, a więc również moralnych spadkobierców towarzyszy partyjnych z okresu reżimu gen. W. Jaruzelskiego, chciałbym tu dać świadectwo prawdzie. A nawiasem mówiąc, aktualne władze SDRP, będąc całkowicie świadome finału sądowej rozgrywki, jeszcze dysponując spornymi zasobami, finansowały z nich różnorakie przedsięwzięcia. Na przykład były to dalekomorskie wycieczki pewnego weterana, w którego kręgu zainteresowań zawodowych morze miało marginalne znaczenie (bowiem w swojej działalności ostatnio głównie zajmował się budownictwem i transportem). Za to w ogóle swoje dorosłe życie rozpoczął nie jako jakiś tam dziennikarz, lecz jako podwładny pułkowników: Skulbaczewskiego i Żarako-Zarakowskiego, w budzącej grozę w czasach stalinowskich *Informacji Wojskowej*.

Syrenie głósy...

Po początkowym okresie zastraszania wojskiem, co powoli zaczęło przekształcać się w wielką smętną farsę z udziałem rzeszy umundurowanych (i częstokroć wstydzących się swojego uniformu na grzbiecie) mężczyzn w różnym wieku, wywodzących się z wszystkich regionów Polski, władze poszukiwały rozpaczliwie rozwiązań, stwarzających przynajmniej pozory normalności. W owym czasie *odwieszano* także niektóre tytuły prasowe, oczywiście po przeprowadzeniu w redakcjach weryfikacji. I oczyszczeniu ich z *najbardziej groźnych elementów*. Tu odwołuję się do

moich osobistych doświadczeń.

Byłem obiektem

Od kilku lat byłem wówczas dziennikarzem *Słowa Powszechnego*, pracowałem w dziale światopoglądowo-religijnym i moim zadaniem było opracowywanie, na podstawie systematycznie zgłaszanych audycji *Radia Watykańskiego*, serwisu informacyjnego ze Stolicy Apostolskiej oraz nagrywanie i opracowywanie materiałów nadsyłanych przez korespondentów w Rzymie. Członkiem pierwszej *Solidarności* byłem *od zarania*, a moje poglądy nie były niczym nowym ani dla szefów, ani dla kolegów. Być może posiadałem jednak dar nie tylko wysłuchania i zrozumienia ludzi o innych niż moje poglądach, lecz także miałem cywilną odwagę publicznego obcowania z tymi, którzy w danym okresie zawirowania politycznego uchodzili za *naznaczonych* i dotknięci byli swoistym ostracyzmem środowiska. Wywodzącym się wcale nie z przekonań czy różnie przez ludzi interpretowanej przyzwoitości, lecz ze strachu przed argusowym okiem aktualnych zwierzchników.

O przywróceniu do pracy dowiedziałem się najpierw nieoficjalnie – od mojego szefa spotkanego przypadkowo w przychodni lekarskiej. Później zostałem wezwany telefonicznie. Z pewnymi obostrzeniami rozpoczęliśmy pracę *jakby nigdy nic*, zabrakło jednak pewnych kolegów. Oczywiście przede wszystkim Jerzego Ślaskiego, który już na zebraniu, po zawieszeniu *Słowa* jasno stwierdził, że w nowym *Pax-ie* nie widzi dla siebie miejsca. Byli to m.in.: Andrzej Wernic, Maria Nazzari (wypar-

ta na emeryturę) i Tadek Knade, świetny dziennikarz i prawy człowiek, z Gdańska (ongis samowolnie przyłączył się do strajku w Stoczni, co przez jakiś czas profitowało jako zasługa, a skończyło się emigracją do Hamburga z powodu sztyku i braku możliwości podjęcia jakiegokolwiek pracy). Przy okazji oczyszczono skład osobowy redakcji z pewnego garbu beneficjentów nie przynoszących żadnego profitu jako dziennikarze, a hodowanych przez szacunek dla protekcji. Jedną osobą, jaka wówczas sama odeszła na znak solidarności z pannicą, która w ogóle nie była tego warta, była świetna dziennikarka społeczna – Magda Nidek, potem związana z tzw. *tytułami branżowymi*.

Prawda prosto w oczy

Mimo wszystko czekaliśmy na jakiś *drugi rzut* weryfikacji. Wiedzieliśmy, że w innych mediach ludzie zapraszani są na idiotyczne rozmówki, bardzo często kończące się wypowiedzeniem: *A u nas nie!*

Jednocześnie stało się jasnym, że w miarę tzw. *normalizacji* musi być reaktywowane *Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich*. A to dlatego, że w realiach komunistycznego zarządzania nie tylko rozdzielało ono pewne dobra, lecz również opiniowało wnioski o... itd. Jako jego członkowie rozważaliśmy, na czym będą polegać restrykcje: czy kto zostanie *wylany* z władz. Inne wyjście jakoś nie mieściło się nam w głowach. Jednak jego forma dojrzała już w zatrudniającym liczny sztab ludzi *Biurowo Prasowym* pod prezydenturą ówczesnego rzecznika rządu – Urbana.

To byli modelatorzy tego nowego tworu (wywodzący się z różnych środowisk dziennikarskich i przypuszczalnie przeprowadzający właściwą, wstępną i rzeczową weryfikację swoich kolegów).

Jednych uznano za *a priori* niezdatnych do użycia, nad innymi, szczególnie młodszymi, chociaż związanymi z opozycją, warto było *popracować*... Objawem takiego zainteresowania było, m.in. wręczenie przepustki na tańszą wódkę (przed zawieszeniem dziennikarzem przysługiwała 30-procentowa zniżka na konsumpcję w restauracji mieszczącej się w budynku siedziby

SDP przy ul. Foksal). Taki blankiet firmowy restauracji *Kaczka*, z podpisem i stemplem Kuratora zawieszzonego *Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich* oświadczył mi, że podobna praktyka miała miejsca też w latach późniejszych – po każdym dniu zajęć jednorazową przepustkę otrzymywali słuchacze *Studium Dziennikarskiego UW*, potencjalny narybek *SDPRL*.

Później, gdy rozdano już karty i powstał ten *panaurbanowy* dziwoląg – kaptowano mnie propozycjami przyjęcia zaszczytnych funkcji w różnych klubach, gremiach, komisjach itp. Z wdziękiem odmówiłem, chociaż bałem się jak cholera! Bezpodstawnie. Żadne szyskany mnie nie spotkały, a z kolegami z *drugiej strony barykady* spotykałem się nadal. Mimo wszystko (a może właśnie dlatego) do dzisiaj traktuję mnie z szacunkiem. Chociaż patrzą na mnie jak na frajera!

Przyszedł moment krytyczny! Cały zespół *Słowa* – a było to ok. 80 ludzi zrzeszonych w ponad 90 proc. w „S” (tylko jeden z naszych kolegów przez przekorę pozostał w *Związkach Branżowych* – był to śp. A. W. Małachowski) – stał się na zebranie z Treuhenderem całego *Zespołu Prasy PAX* Januszem Stefanowiczem, który – *nota bene* – niedługo potem, za zasługi niedostępne ani oczom, ani uszom dziennikarzy, mianowany został ambasadorem PRL we Francji. Strach i cisza. Przemówienie Stefanowicza dotyczyło dwóch punktów: weryfikacji (tutaj stwierdził po prostu, że zwolniono kolegów, którym z nami nie jest *po drodze* – a wszystkim oszczędzono ponizającej farsy rozmówek weryfikacyjnych) oraz kwestii nowopowstałego *Stowarzyszenia Dziennikarzy Polski Ludowej*.

Bez owijania w bawełnę

Nie bez humoru opisał nam, nieco zdębtwiał z przerażenia, przebieg zebrania inauguracyjnego nowego związku dziennikarzy. Przy cienkiej herbatce pan gen. Jaruzelski poinformował, że wobec opinii władz *dawnego SDP* powziął decyzję o powołaniu innego: *n o w e g o* związku. Podał nawet jego nazwę...

Jerzy Trammer

W tych latach

Później J. Stefanowicz opisał nam ze szczególnymi deliktami przebieg tego zebrania. W krótkich zresztą słowach. Kolega Krzyżogórski, gdy nań groźnie spojrzal Generał, przystał na wszystko. Także inni wskazani przez niego kole-dzy. – *Ja tę herbatkę wypilem, ale do żadnego związku czy stowarzyszenia dziennikarzy Pana Generała nie przystałem. I was nie będę ani kaptować do tego związku, ani nie zganię, gdy ktoś przystąpi.* Po długiej chwili ciszy wstał nasz kolega, dziennikarz sportowy, mówiąc: – *Z racji swojego zawodu muszę wyjechać na Zachód na zawody; o kwestia paszportu itd. Nie potępiacie mnie, gdy się tam przyłączę...* Dalej cisza... Kilka innych osób zrobiło to później – chyłkiem.

Nikt nie musiał być w onym *sdupe-erelku*, jak nazywaliśmy żartobliwie ten nowy twór w latach *stanu wojennego*. Nie był on żadną kontynuacją *SDP*, a był niejako jego zaprzeczeniem, antytezą. Figurą retoryczną czasów Jaruzelskiego, powołaną przezeń do kontynuowania realnego bytu na przekór istniejącej rzeczywistości. Na pewno wbrew strukturom demokratycznym samorządu dziennikarzy, istniejącym nadal w tzw. *podziemiu*.

I jest to istotny przyczynek do owej obśmiewanej przez demoliberałów teorii spiskowej dziejów. Bowiem ten twór o mafijnym rodowodzie żyje i upomina się teraz o swoje rzekome prawa, pewny swoich racji, gwarantowanych ongiś przez samego Generała. Będąc zbiorem ludzi związanych z zawodem dziennikarza nie chce zarazem przyjąć do wiadomości smutnej prawdy, iż już w zaraniu był jedynie nowym narzędziem ekipy gen. Jaruzelskiego, służącym do osiągnięcia jakichś doraźnych, konkretnych celów. Ludzie nie chcą nadal uwierzyć w to, że umundurowany, partyjny półbog ongiś chciał ich użyć jedynie w charakterze szczytki do szorowania posadzek.

Cezary Bunikiewicz

Autor jest członkiem władz Okręgu Warszawskiego *Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich*

Choć babcia nie znosiła komunizmu, to jednak brała mnie, bym razem z nią patrzył na pochód pierwszomajowy jako na widowisko. W tych latach pochód przypominał korowód karnawałowy albo paradę *techno*. Na ciężarówkach jechały kukły – karykatury wrogów: Adenauera, Trumana, Wuję Sama czy Czang-Kai-Szeka. Lub zaplutego karła reakcji. Postaci mały ludzkie, lecz głowy lisie lub świńskie albo wampirze. Ręce jaskrawo umazane czerwoną farbą.

W pewnym momencie nadjechał samochód z budą. Był do niej przywiązany pies z ludzką twarzą. Jechał też napis, który mi babcia przeczytała: *Psu łańcuchowemu kapitalizmowi Ticie mówimy: nie!*

Problematykę psów łańcuchowych znałem. Z pobytów na wsi pomiędzy Ostrołęką i Wyszkowem i z przedmieść. Wiedziałem, że te psy nie przebywają na uwięzi z własnej woli. I że od łańcucha woła wolność i swobodę.

W przedszkolu *Leśny ludek* w kółko mówiłem, że trzeba Titę spuścić z łańcucha. Wówczas z wdzięczności zostanie przyjacielem Polski.

Przedszkolanki poszły po kierowniczkę. Kiedy przybyła, zaczęła krzyzczeć, bym nie zajmował się sprawami, których w ogóle nie rozumiem. Zaczęły krzyzczeć też przedszkolanki.

Nigdy ich nie widziałem w takim stanie. Nie przestraszyłem się. Wytlumaczyłem sobie, że one dają przedstawienie, żeby dostarczyć dzieciom rozrywki. Zaśmiałem się. A wtedy kierowniczką dwa razy uderzyła mnie po twarzy. Potem się rozplakała, zaczęła całować mnie i tulić. ■

Stanisław Michalkiewicz

Duraczenie

Będąc w kwietniu ub. roku w Paryżu, spotkałem marksistów nie tylko żywych, lecz także pełnych wigoru i projektów na przyszłość. Wprawdzie Carryca Leonida zauważyła, że Europa Zachodnia nagromadziła tyle bogactwa, że *nie strwonisz go przez pięćset lat nawet takiego, jak tu władztwa*, ale wyda się, że nawet Carryca Leonida nie doceniła możliwości marksistów w tym względzie. We Francji i w Niemczech tamtejsze systemy ubezpieczeń społecznych właśnie *idą bankrutować*, skąd coraz większa popularność eutanazji i innych metod likwidowania *nieproduktywnych starców*.

W Polsce, kraju szczącym się przywiązaniem do wartości, o eutanazji nie wspomina się nawet słowem, bo cóż tu strzepić sobie język dyskusjami, kiedy ten sam efekt można osiągnąć przy pomocy **Narodowego Funduszu Zdrowia**? Jeśli prawdą jest, co mówił prof. Religa, że limity dla Instytutu Kardiologii w Aninie wystarczają tylko na 3 miesiące, to jest oczywiste, że mamy właśnie do czynienia z zaawansowaną realizacją programu eutanazji, tyle że bez tworzenia oficjalnych podstaw prawnych. Dzięki temu możemy z czystym sumieniem jednocześnie potępiać eutanazję i ją praktykować. W tym właśnie jesteśmy uczniami wspomnianej Leonidy, która, jak pamiętamy, wolała unikać ostentacji, wybierając raczej tzw. *duraczenie*: *Woi Gitler, kakoj tu durak! On się przechwalał zbrodnią swoją, A mudriec, to by sdielał tak: Nu czto, że gdzie konclagry stoją? Nu czto, że dymią krematoria? Toż w nich przetapia się istoria! Niewoli topią się okowy! Powstaje sprawiedliwszy świat! Rodzi się typ człowieka nowy!* No a któż lepiej nadaje się do *duraczenia*, jeśli nie bajorze, zwani uprzejmie intelektualistami? Nic też dziwnego, że mamy do czynienia z zacieśniającą się symbiozą

gangsterów z intelektualistami, a nawet ze zdarzającymi się coraz częściej *nieoczekiwanymi zmianami miejsc...*

Właśnie przeczytałem rozmowę red. Jacka Żakowskiego z prof. Rosatim, członkiem **Rady Polityki Pieniężnej**. Profesor Rosati jest intelektualistą specjalizującym się w dziedzinie ekonomii i w rozmowie z red. Żakowskim nawołuje do poparcia *planu Hausnera*, który, jak wiadomo, został przez bajorzy uznany za zbrodnię, jako Wielka Nardzieja Czerwonych. *Plan Hausnera* zmierza do obciążenia wydatków budżetowych bez obniżania dochodów państwa, a nawet zakłada *rozszerzenie bazy podatkowej*. Oznacza więc, że obywatele będą płacili tyle samo, albo nawet więcej, a państwo będzie oddawało im jeszcze mniej, niż dotychczas.

Co będzie robiło z różnicą? Po pierwsze, znakomitą większość tej różnicy przekazać lichwiarzom, którzy są wierzycielami państwa polskiego. Po drugie pozostałą część przeznaczy na wpłaty do **Unii Europejskiej**, z którą potem będziemy się użerać, ile zechce nam z tego oddać. Profesor Rosati zwraca uwagę, że *periculum in mora*, bo lichwiarze zaczynają się niecierpliwić, w związku z czym cena euro zbliża się już do 5 złotych. Jeśli się znarowia i przestaną kupować od rządu kolejne obligacje na następne lata, to rząd, żeby chociaż spłacić odsetki, będzie musiał kupować euro za każdą cenę, nawet i po 6, albo 7 złotych. Pieniądże na te zakupy będzie ściągał, rzecz prosta, z podatków. A więc i tak źle, i tak niedobrze, bo podatek, tak czy owak, jest bity po... powiedzmy – kieszeni.

Z punktu widzenia rządu jest jednak różnica. Rzecz w tym, że podatek nie można podnosić w nieskończoność, natomiast drenować obywateli – można. Pod jednym wszakże warunkiem: najpierw trzeba ich *oduraczyć*, żeby uwie-

rzyli, że nie tylko *inaczej nie można*, ale że ten drenaż *odbywa się dla ich dobra*. Wiecej profesor Rosati *duraczy* bardzo inteligentnie, licząc na uznanie w oczach lichwiarzy, którzy takiego zucha z pewnością poprą do **Parlamentu Europejskiego**. Tam dopiero sztuka *duraczenia* uprawiana jest z rozmachem nieznanym w skali tubylczej.

Tymczasem *plan Hausnera* jest kolejnym posunięciem rabunkowym wobec obywateli polskich. Pierwszy taki rabunek dokonał się po wojnie w postaci tzw. *nacjonalizacji*. Mimo potępienia komunizmu, wydane przez komunistów dekryty nacjonalizacyjne nadal stanowią fundament polskiego systemu prawnego i stosunków własnościowych w III Rzeczypospolitej. Drugi etap rabunku nastąpił podczas słynnej wymiany pieniędzy. Trzeci etap rabunku był rozłożony na długie dziesięciolecia i polegał na finansowaniu deficytu budżetowego dodrukowywaniem pieniędzy, czyli wypuszczaniem pieniędzy fałszywych. Ten etap został zakończony przyjęciem tzw. *planu Balcerowicza*, obejmującego również wydrenowanie obywateli z owych fałszywych pieniędzy, za które państwo polskie mogło zaofiarować im np. własność mieszkań, domów, sklepów, czy placów. Tymczasem jedno im odebrano, a drugiego nie dostali.

Kolejne etapy rabunku obywateli polskich to ustawa o narodowych funduszach inwestycyjnych i ich prywatyzacji oraz utrzymywanie płynności finansowej państwa dzięki coraz większemu zadłużaniu go u lichwiarzy. Warto zauważyć, że jednym z kreatorów i wykonawców tej polityki był również profesor Rosati, dzisiaj z wdziękiem nam *duraczący*. W efekcie tej polityki całe polskie społeczeństwo znalazło się w faktycznej niewoli u lichwiarzy, tak samo jak chłopci egipscy, wskutek polityki interwencyjnej Józefa, zostali niewolnikami faraona. Ale i tamten rezultat jest również dzisiaj przedstawiany jako wielkie dobrodziejstwo dla Egipcjan, a to pokazuje, jak ważne jest spopularyzowanie właściwej wersji wydarzeń i umiejętne *duraczenie*. ■

IN FLAGRANTI

Niczym tanie pochlebstwa brzmią wypowiedzi niektórych polityków i publicystów amerykańskich, że *Jesteśmy najwierniejszymi aliantami USA*. Ta nasza polityka sojusznicza skłóca nas z Europą i **Unią Europejską**. Na Zachodzie nazywa się **Polskę złośliwie, acz nie bez pewnej racji, koniem trojańskim Ameryki**. Płacimy tedy wielką cenę nie za to, co daje nam to mocarstwo, lecz za to, co my mu damy. **USA traktują bowiem wszystkich obywateli Polski, starających się o wizy wyjazdowe, jak potencjalnych przestępców. Czyżby Amerykanie nauczyli się tej podejrzliwości od Sowietów?**

Sojusznicy i wasale

Stosunek władzy i większości polityków amerykańskich – łącznie z prezydentem Bushem i Zbigniewem Brzezińskim – do wiz dla Polaków jest tak okropny, jakby tchnął wrogością. Doremne okazały się złudzenia, że nasz prezydent i rząd doprowadzą do jakiegoś rozsądnego, to znaczy korzystnego dla nas kompromisu. Prezydent Aleksander Kwaśniewski podczas niedawnego pobytu w Białym Domu nie wiedział jak, w jakich miejscach i w jakim czasie się zachowywać oraz co mówić. Gdy poruszył sprawę wiz, usłyszał od interlokutora, że decyzję o zmianie polityki wizowej może powziąć jedynie Kongres. I koniec. Prezydent RP stracił rezon, nie miał już więcej do powiedzenia ani żadnego kontrargumentu, przynajmniej opinia publiczna o jakiejś rzeczowej reakcji naszej głowy państwa nie usłyszała. A przecież mógł prezydent Kwaśniewski swemu koleździe w *Białym Domu* powiedzieć publicznie, że w takim razie najprzejmiej go prosi, żeby był łaskaw przedstawić tę kwestię na forum Kongresu i poprzeć ją tam tak, jak zazwyczaj każdy przywódca demokratycznego i nieobłudnego państwa popiera dezerytary swych sojuszników. Nie – nasz prezydent zachował się nie jak sojusznik suwerenny, a zagubiony w meandrach polityki wasal.

Dyplomacja polska wykazała i wykazuje w sprawie wiz amerykańskich dla obywateli polskich burzącą nonszalancję. Toteż gdzieś tam, na poboczach opinii publicznej, mówi się nierozważnie, że skoro oni tacy, to my więcej wojska do Iraku nie wyślemy, a nawet to, które tam jest, zabierzemy.

O nie! Wizy to nie wojsko, wizy to nie wielka polityka; to polityka, owszem, ale o wiele mniejszego kalibru. I tylko w takich małych, współmiernych wymiarach powinniśmy dążyć do zmiany sytemu wizowego. Na przykład zastosować starą jak świat w dziejach polityki retorsję: Amerykanie przyjeżdżają do nas bez żadnych ograniczeń, a w ich kraju kwitnie handel narkotykami, to w takim razie wprowadzamy drastyczne restrykcje – każdy obywatel USA przybywający do Polski może być potraktowany jako potencjalny przestępca narkotykowy i dlatego poddany zostanie poniżającej go kontroli. Skoro znów Polacy placą krociowe sumy za samo złożenie wniosku o wizę, a przy jej odmowie nie odzyskują wpłaconej kwoty – to niech Amerykanie przyjeżdżający do nas też placą słono, tym bardziej że są od nas o wiele bogatsi.

Oczywiście ofiarami takiego postępowania byłoby nade wszystko nasi rodacy, Amerykanie polskiego pochodzenia, albowiem oni najczęściej przylatują do Polski ze Stanów. A no trudno – niech się skarżą władzom amerykańskim, ich skargi bardzo by nam się tu przydały; *gwalt niech się gwałtem odciska* – napisał wieszcz narodowy...

Ale żeby w polityce *gwałtem* (współmiernym) *odcisnąć gwalt*, trzeba polityków nie tego formatu, których mamy. Współcześni przywódcy III Rzeczypospolitej to absolwenci szkoły uległości wobec obcych a cynizmu wobec rodaków. Jeszcze 15 lat temu służyli przede wszystkim interesom Związku Sowieckiego i Rosji; a jeżeli dbali o dobro swego państwa, to tylko o takie, które by

nie zakłócało porządku jałtańskiego, czyli podporządkowania naszego narodu sowiecko-rosyjskim interesom imperialnym. Oni umieli jedynie dochowywać wierności socjalizmowi dekretowanemu na Kremlu. I wykazywali w tej umiejętności niezwykłą determinację, można by rzec – nawet odważną determinację, ponieważ bez skrupułów odbierali społeczeństwu suwerenność. Jak zatem od ludzi wychowanych w uległości oczekiwać, że teraz wobec – wprawdzie diametralnie odmiennego, ale znów obcego – mocarstwa będą postępować odważnie, stanowczo i sprytnie?

We wrześniu 1991 r. Mieczysław F. Rakowski, udzielając wywiadu dziennikarce **Rzeczpospolita**, zapytany przez dziennikarza, dlaczego w latach 1980 – 1981 ówczesni politycy nie prowadzili ze Związkiem Sowieckim żadnych politycznych gier – wyraził zdziwienie: *z Radzieckimi gry?! To teraz na pewno z równie spontanicznym zdziwieniem wykrzyknąłby: z Amerykanami?!*

A no tak, fundamentem polityki polskiej wobec Rosji od r. 1944 do 1989 r. była niewiara, że cokolwiek można z nią politycznymi środkami osiągnąć. Toteż na groźby i belfy Kremla *pepeerowcy* i *pezetpeerowcy*, którzy dzisiaj rządzą naszą Rzeczpospolitą, nie odpowiadali ani grą, ani blefem, reagowali natomiast jak przestraszeni wasale. Dlatego nasz prezydent przyzwyczajony do uległości wobec obcych, nienawykły do wysiłków i zasad stosowania w polityce międzynarodowej chytrych, subtelnych i odważnych trików dyplomatycznych, nie umiał na amerykańskie restrykcje zareplikować zapowiedzią utrudnień polskich, na amerykańskie demagogiczne argumenty mocnymi kontrargumentami, niech by nawet również demagogicznymi. I oto mamy – najlepszy sojusznik Stanów Zjednoczonych w Europie, która za tę bezwzględność wierność nas potępia, jest przez polityków amerykańskich upokarzany niczym wasal.

Oto dokonania dyplomacji polskiej. Będą nie dumę, a przerażenie – co będzie dalej?

Jacek Wegner

PRZEGLĄD PRASY

Ostrowski Arms

O kontrakt dla **Bumaru** zabiegał sam prezydent Kwaśniewski podczas swojej wizyty w USA, przekonując George'a Busha, że najwierniejszemu sojusznikowi Ameryki należą się preferencje. Choć wiadomo powszechnie, jakie reguły gry ekonomicznej obowiązują w Stanach Zjednoczonych, w namawianie Amerykanów, jak informowały media, zaangażował się również premier Miller i minister obrony Jerzy Szmajdzkiński. Te polityczne naciski zdały się wszakże na nic.

W ramach kontraktu (dodajmy: finansowanego przez rząd USA) należy dostarczyć nie tylko uzbrojenie i amunicję, lecz także samochody terenowe, przyczepy, cysterny na wodę i paliwo, kuchnie polowe, radiostacje, generatory do wytwarzania prądu, kompasy, namioty, spiwory, saperki, a nawet pasy żołnierskie i noktowizory. Te wszystkie rzeczy są w Polsce produkowane, nie tylko zresztą przez przemysł zbrojeniowy. Ale i nasza *zbrojeniówka* mogłaby nieźle zarobić, gdyż karabinek automatyczny *Kalasznikowa* nadal uchodzi za najlepszą broń strzelecką w swoim typie.

A ponadto idzie o wejście na iracki rynek, który jest niezwykle łakomym kąskiem dla każdego, kto umie rachować. Dzięki ogromnym złożom ropy naftowej Irak wkrótce stanie gospodarzem na nogi i kto się tam zadamowi już teraz, może liczyć w niedalekiej przyszłości na intratne zamówienia, i to dotyczące nie tylko wyposażenia tamtejszej armii. Ten zrujnowany przez Amerykanów kraj potrzebuje bowiem wszystkiego, co niezbędne jest do życia: elektroni, wodociągów, szpitali, wytwórni leków i sprzętu medycznego, środków transportu, a także szkół, dróg i mostów. I co najważniejsze: Irak ma czym płacić, albowiem żaden inny surowiec nie decyduje w takim stopniu o światowej gospodarce, jak ropa nafta-

towa. I – dodajmy – długo jeszcze będzie decydować. Jednak polityczne zabiegi nie pomogły i **Bumar** przegrał, zaś żądni sensacji dziennikarze i urzędnicy przystąpili do ataku. Mało ważne okazało się dla nich to, że jednak dwie polskie firmy znalazły się w amerykańskim konsorcjum, które wygrało kontrakt, a więc że jednak Polska ma szansę zarobić duże pieniądze na dostawach do Iraku. Te firmy to **Ostrowski Arms** oraz **Polska Izba Producentów na Rzecz Obronności Kraju**.

Najpierw próbowano zdyskredytować Amerykanów, zarzucając im, że przetarg został przeprowadzony nieuczciwie (ale skąd my znamy tego rodzaju nieuczciwość?). Rzeczniczka prasowa **Bumaru** powiedziała *Gazecie Wyborczej* (2 II), że *zrealizowanie kontraktu za tę sumę* (tzn. o ponad dwieście milionów dolarów mniej niż żądał **Bumar**) *jest niemożliwe, toteż będziemy chcieli uzasadnienia tej decyzji*. Kiedy jednak okazało się, że Amerykanie nie zamierzają się tłumaczyć, prawdziwą batalię przeciwko jednej z polskich firm rozpoczęła *Rzeczpospolita*. Najpierw (7 II) na jej łamach ukazał się wielki artykuł *Zwycięzca bez pozwolenia*, parę dni później (13 II) również duży artykuł *Zamówienie na broń*. Negatywnym bohaterem obu tych publikacji jest firma **Ostrowski Arms** i jej właściciel – Andrzej Ostrowski. Dziennikarze *Rzeczpospolitej* dowodzą (i wszystko wskazuje na to, że mają rację) iż Ostrowski złamał prawo, przystępując do przetargu, albowiem nie ma koncesji na międzynarodowy handel bronią. Do tego momentu w porządku – od tego są gazety, aby takie sprawy ujawniać. Ale z punktu widzenia kraju o kulejącej gospodarce i największym w Europie bezrobociu jest druga – o wiele istotniejsza – strona tego medalu. Jako obywatel Polski, zatroskany

o jej niewesoły stan uważam, że zamiast nagonki na **Ostrowski Arms** powinniśmy zrobić wszystko, aby **ten kontrakt uratować**. Andrzej Ostrowski twierdzi, że przecież samochody, cysterny, namioty i spiwory to nie uzbrojenie i ma w tej mierze rację. Jeżeli tych namiotów i spiworów nie uszyje się w Polsce, to zostaną one uszyte gdzie indziej. To samo dotyczy samochodów terenowych **Honker**, produkowanych w fabryce w Lublinie, cystern, kuchni polowych czy kompasów. To są miejsca pracy, opłacone składki **ZUS** i podatki dla państwa, co w kraju pogrążonym w kryzysie gospodarczym powinno być na pierwszym miejscu. Wypowiadając się 14 lutego dla telewizyjnej *Panoramy*, profesor Marek Belka powiedział, że rozgłaszając po całym świecie sprawę **Ostrowski Arms** Polacy złożyli donos na samych siebie, albowiem każda polska firma, która będzie chciała wejść teraz do Iraku, stoi na straconej pozycji. Odpowiadając zaś na pytanie dziennikarza, czy uda się sprzedać polski sprzęt do Iraku, Sławomir Kulakowski, szef *Izby Producentów na Rzecz Obronności Kraju* odpowiedział (*GW*, 11 II): *Obawiam się, że jeżeli nadal będzie taka nagonka polityczna na konsorcjum, które wygrało przetarg, to – nie. Z prostego powodu. Amerykanie pomyślą, że Polacy są nierozważni i zamiast cieszyć się z wyników przetargu, szukają dziury w całym*. Warto w tym miejscu przypomnieć, że kiedy bankrutowała fabryka w Lublinie, ta sama, która może wyprodukować dla Iraku kilka tysięcy **Honkerów**, ani *Rzeczpospolita*, ani żadna inna gazeta, radio czy telewizja nie poświęciły tej sprawie tyle miejsca, co aferze związanej z **Ostrowski Arms**. To smutne, albowiem dowodzi, że najważniejsze problemy Polski nie interesują już nawet dziennikarzy.

Andrzej W. Pawluczuk

PS.: W artykule *Systemy i układy (Polityka*, nr 7/2004) Joanna Solska podała, że przy okazji informatyzacji centralnych urzędów zamarnowano 550 milionów złotych. Kto konkretnie zamarnował czy sprzeniewierzył? Wiedzieliśmy, gdyby media zechciały tej sprawie poświęcić tyle samo energii, czasu i miejsca, co tropieniu afery **Ostrowski Arms**.

Wydawca Miesięcznika PiP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła
Dyrektor Wydawnictwa *Michalineum*
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:

Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PIP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy
tel. Wydawnictwa: (22) 781 16 40
www.michalineum.pl

Skład, lamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na
konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy.

Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.
W przypadku większej liczby egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na miesięcznik **PIP**
prosimy kierować na adres:

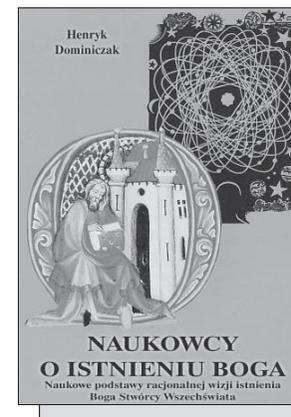
Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(dział kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781 14 20

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Miesięcznik można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katynia 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych

Nakład: 5000 egz.



ście ówczesnych kosmogonii, kosmologii czy generalnie – mitologii. **Bóg i wszechświat** – to jakby hasło wywoławcze syntetycznych dociekań Autora we wszystkich rozdziałach tej książki.

Opierając się na bogatej aparaturze naukowej, Autor przedstawia obecny stan wiedzy o Bogu i wszechświecie oraz o miejscu człowieka w historii tego świata. Z konieczności wyobrażenia o Bogu i świecie u ludów najstarszych cywilizacji (Egipt, Mezopotamia) zostały przedstawione dość ogólnie. Natomiast, poczynając już od mitologii greckiej i rzymskiej (rozdz. III), oprócz przedstawienia panteonu bogów, wypunktowano systemy filozoficzno-etyczne najwybitniejszych myślicieli antyku. Padają też śmiało sformułowania dotyczące *spotkania* filozofii i mitologii grecko-rzymskiej z judaizmem i chrześcijaństwem. W kolejnych rozdziałach mamy przedstawioną chrześcijańską myśl filozoficzną – począwszy od samego Chrystusa, Jego zbawczej myśli, poprzez wielkich Ojców Kościoła (jak Orygenes, Tertulian, św. Augustyn), dalej poprzez filozofię scholastyczną Tomasza z Akwinu i jego następców... Najbardziej rozbudowany jest rozdział V o nowożytnej nauce i filozofii. Mamy tu cały przekrój wiedzy wielkich swojej doby: od Kartezjusza i Pascala do Kierkegarda i Bergsona.

Opis dominujących systemów naukowych w XIX i XX wieku zamyka to bardzo intrygujące dzieło. Wynika z tych refleksji, że świat w swej cudownej strukturze – i prawa nim rządzące, mają swego genialnego Projektanta, który *zadał* mu idealny ład, piękno i harmonię. I że to wszystko razem wzięte skłania do stwierdzenia, iż sam świat zawiera w sobie niezbite, naoczne dowody istnienia Boga Stwórcy.

Książkę *Naukowcy o istnieniu Boga* autorstwa Henryka Dominiczaka Wydawnictwo *Michalineum* proponuje pod adresem:

Wydawnictwo Michalineum

ul. Piłsudskiego 248/252

05-261 Marki

tel. (22) 781 14 20, fax 771 36 15 lub e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 10 zł plus koszt wysyłki.

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:
www.michalineum.pl

Każdą liczbę egzemplarzy *Powściągliwości i Pracy* można nabyć u kolporterów *Gościa Niedzielnego*